№ 24 Warszawa, dnia 2 (14) Czerwca 1879 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI
w literaturze i społeczności naszéj.

(Dalszy ciąg).

Od 1825—1827 Kraszewski uczył się w szkole obwodowéj w Biały. Wspomina on o tem okresie swego życia w wyżéj wspomnianem dziele, notując ten fakt, że tu już począł on pisać. „Widzicie, mówi on, dlaczego ja tak kocham Białę i szanuję jéj wspomnienie. Wy, którym moje nieustanne pisanie może się już nieraz uprzykrzyło (choć go nie czytacie), niewiele pewnie będziecie wdzięczni miasteczku, ale ja je kocham, ja je szanuję. Mimowolnie w starości czuje każdy przywiązanie jakieś czułe do swojéj pierwszéj kochanki (bodaj była to służąca jego matki); tak ja do tego miejsca, w którem poznałem raz pierwszy rozkosz wylania duszy na papier, czuję dotąd coś nakształt tego przywiązania.“ Rzeczywistość dawała mu materyał do pisania; już w tym okresie przypatrywał się naturze i przerysował jéj wzory. Tak mówi on że plebania bialska, pod względem powierzchowności, stała się oryginałem plebanii w powieści jego *Pan Walery*. „Patrząc na nią, powiada, ukradkiem z okien sali szkolnéj; opisywałem ją na okładkach seksternu geografii.“ Dodaje potem, że cały *Wielki świat małego miasteczka*, chociaż osnuty późniéj daleko, w kilka lat, ale na tle wspomnień o Biały.“ Wspomnienia z lat dziecinnych są żywe i zachowują dla nas do końca życia niczem niewysłowiony urok; lada co wywołuje je potem do życia: jest to jakby latarnia magiczna działająca w nas samych. „Pięknie, mówi daléj Kr., świecił jeszcze za moich czasów w Biały zamek niegdyś obronny, otoczony wałem, na którym rosły stare lipy, naszych przechadzek wieczornych i śpiewów wesołych świadki i słuchacze! Cieniste stare lipy wałów! ileście scen widziały mego życia dziecinnego! Ileśmy to pod waszemi gałęźmi bajek sobie napletli, patrząc w te fossy, w których, gdzieniegdzie, stęchła i zielona woda, odzywała się do nas głosem tysiąca żab, ostatnich już dziedziców zamkowéj okolicy, najdłużéj panujących! Czemuż nie mogę znaleźć książeczki, w któréj dzieckiem jeszcze, trawiony gorączką literatury i sztuki, opisałem po dziecinnemu stare bialskie zamczysko, byłaby to dla mnie miła pamiątka! Mieszkałem u rektora Prejssa, niedaleko zamku, naprzeciw farnego kościoła, w domu pompatycznie zwanym *akademią*. Naprzeciw domu stał słup murowany, dawniej granica Litwy i Polski. W tym to domu, na strychu, pierwszy raz rozmiłowałem się w starych książkach, i jakimże to wypadkiem tam będących!“ Znajdujemy tu wielce ciekawy fakt do dziejów oświaty ogółu owego czasu. Oto autor nasz powiada, że „uczeni owego czasu profesorowie (wyjmuję z ich liczby A. Bartoszewicza, który pewnie o tem nie wiedział), otrzymawszy dla biblioteki dar wielu książek starych, wybrali z nich nowsze i lepiéj oprawne, a resztę kazali wyrzucić na strych. Chodziłem tam spostrzegłszy to, i jakiem się bawił, przerzucając stare holcsztychy, usiłując zrozumiéć, co tam było napisano, w niepojętych jeszcze dla mnie językach! Już wówczas jakiś węzeł sympatyi łączył mnie z księgami, czułem na ich widok to co czuje młodzieniec, gdy ujrzy przeznaczoną mu oddawna kochankę. Zdawało mi się żem już widział kiedyś to wszystko, żem znał, przypominał sobie; zdawało mi się, że *gdzieś*, *kiedyś* te książki czytałem, że one nie były mi obce, że nie były dla mnie nowe, czułem, że nie pierwszą były już one dla mnie miłością. Goëthe byłby powiedział z Leibnitzem, że duchowa moja monada, szlachetniejsza część mnie samego, wyszła świeżo z jakiegoś bibliofila; mnie się to zdaje i zdało prostem tylko przeczuciem przyszłości, które brało na się postać wspomnienia. We wspomnieniach szkolnych czasów ustawicznie natrafiamy u Kr. na czytanie książek „pożyczanych, już to tysiącznemi sposobami łapanych po drodze.“ Wspomina téż o rysowaniu, lub dokonywaniu tysiącznych doświadczeń chemiczno fizycznych, do których, powiada, dopomagał nam Gabryelek, dostarczając potrzebnych ingredyencyi.“ Ten Gabryelek był zapewne synem miejscowego aptekarza. Chemia Śniadeckiego była nam naszym przewodnikiem. Nieraz Bóg wie jakiego, stuku lub zapachu narobiliśmy, naśladując Wezuwiusz w garnuszku. A co tam były za ciekawe doświadczenia z fizyki ks. Nolleta, z machiną elektryczną i elektroforem naszéj fabryki! Ileśmy luster napsuli do natarcia poduszek a ile opiłków żelaznych i laku! Jeszcze dziś pomnę naszą radość, gdy udało się nam zrobić *arbor Dianae*, choć chemią tylko z książkiśmy znali. Tak to nas wszystko zajmowało, cieszyło!“

Możeż być co milszego nad te wspomnienia dzieciństwa wielkiego męża? Potem z Biały Kr. przeszedł do szkoły w Lublinie. Miasto wydało mu się puste, nudne; nie było tu jednéj twarzy znajoméj, ani jednego przyjaciela, bo powiada, choć przyjaźnie młodzieńcze łatwo się zawiązują, początki poznania się są w pewien sposób przykre. Trzeba przejść nowicyat szyderstwa, wytrzymać próby, nim cię przyjmą towarzysze. Stał u Ostrowskiego, nauczyciela matematyki, do któréj, jak sam to wyznaje, nie miał nigdy wielkiego nabożeństwa. Cóż jednak robić, dodaje, gdy gwałtem wciskają ci ją do głowy? Musiał ciągle rozwiązywać zadania profesora, mozolić się nad algebrą i geometryą, choć mi one powiada, nic nie mówiły i obiecywałem sobie święcie porzucić je, jak tylko mi wolno będzie pokłonić się im i pożegnać. W tem utrapieniu pocieszały go zawsze w lot łapane książki. Czytanie to przekony-

wało mnie, mówi Kr. iż sam pisać muszę. Z Lublina wyszedł bez nagrody. Wśród czytania imion uczniów wybranych, rzuciłem książkami i seksternami o podłogę i oddaliłem się z sali. Potem powiada: jako uczeń nigdy nie mogłem się odznaczyć. Więcéj naówczas może umiałem od innych towarzyszów, bo w ciągu roku skorzystałem sam przez się z czytanych książek, ale gdzie było trzeba nauczyć się czegoś na pamięć, wypowiedziéć *pensum* słowo w słowo, nigdym się nie mógł odznaczyć. Pamięć moja skrzętnie chowająca nazwiska i daty, pojedyncze fakty, wypadki, nigdy nie mogła się nakłonić do przyjęcia jednéj seciny wierszy, pół kartki prozy. Niestety wtenczas w Lublinie, zasadzano wszystko na dosłownem wyuczaniu się, które do niczego nie prowadzi, chyba tylko jedną pamięć wyćwiczyć może.“ Takie zeznania znakomitych ludzi o ich sukcesach szkolnych powinnyby były oświecić wreszcie pp. pedagogów, bo od Montaigne'a do Aleksandra Dumas'a (ojca) dowodzą one jasno, że ludzie samodzielnego ducha, nie przyswajają sobie nic biernie, chwytają to tylko co główne i przetwarzają to natychmiast w sobie, nadając rzeczy zrozumianéj po swojemu, własną indywidualną cechę. Wielcy ludzie nie byli nigdy w szkołach pierwszemi uczniami, a pierwsi uczniowie znowu nie byli nigdy w świecie wielkiemi ludźmi. Gdyby pedagogowie chcieli śledzić za swoimi laureatami a nawet za uczniami *medalowymi* w ich późniejszych losach na świecie, przekonaliby się najłatwiéj o tem, że oni zwykle zajmują tylko skromne miejsca nauczycielskie po szkołach, na których oddają wiernie uczniom swoim to tylko, co sami przyswoili sobie biernie w szkole. Gdybyż tylko koniec był na tem, gdybyż przynajmniéj niebrakowano po zakładach naukowych tych, *niby* nie chcących się uczyć chłopców, aby ustąpili miejsca uczącéj się wybornie *na pamięć* młodzi. Przy takim bowiem stanie rzeczy ileż to przyszłych ludzi myśli i wiedzy pozostałoby bez nauki, zupełnie zaniedbanych. Potrzeba przypominać tym pp. że Franklin był chłopcem drukarskim, a Faraday czytał i uczył się z książek, które mu oprawiać dawano? Kiedyż ludzie będą mogli wreszcie uczyć się tego czego chcą, do czego czują ochotę i uczyć się tak jak mogą, jak im wewnętrzne usposobienie ich pozwala? Jedni chwytają pamięcią a inni rozmysłem, kto zaś lepiéj na tem wychodzi dopiero doświadczenie nam to wskazuje. Zaprawdę, niedobra to metoda, wykluczać ze szkół tych, którzy się nie mogą dobrze nauczyć naprzykład matematyki, lub pisać expedite po grecku, chociaż zkądinąd niezaprzeczoną jest to rzeczą, że młódź ta przeszedłszy szkoły mogłaby i bez tych nauk byś pożytecznymi ludźmi. Kraszewski miał kolegów, których nauczyciele stawili wysoko; kto są i gdzie są ci koledzy? Tego nie wiemy, to pewna jednakże że cała Europa zna dziś imię i zasługi Kraszewskiego, miernego niegdyś ucznia miernéj prowincyonalnéj szkółki. Kraszewski dowiódł tego najlepiéj przykładem swoim, że zdatność, zapał, ochota do pracy, samodzielność ducha a nie czcza pamięć znaczą coś jedynie w rzeczy wiedzy. Tego dowodzą nam stale biografie wszystkich znakomitych ludzi, których samo przyrodzenie namaściło na przedstawicieli i kierowników społeczności. Pedagogia powinna tylko wrodzone zdolności ducha, kształcić a niestarać się je przerabiać wedle gotowéj normy.

Z Lublina przeniósł się Kraszewski do gimnazyum we Swisłoczy. O swoim pobycie w téj szkole tak mówi w swoich wspomnieniach. „Spokojne życie Swisłoczy, gdzie trzeba się było zająć koniecznie nauką, choćby dlatego tylko że czem innem nie było, i mnie i wielu innych zmusiło zapewne do oddania się namiętnego książkom i pracy. W młodym wieku, przy czynniejszym umyśle, jak tylko nie ma nic, coby oderwać mogło, coby nęciło jakimś powabem, rzucić się musimy do nauki, potrzebując za warunek do życia zajęcia, któreby siły nasze wyczerpywało. Dlatego miasteczka takie jak Swisłocz podobniejsze wsi niż miasteczku, ustronne, spokojne, najlepsze są dla młodzieży. W nich uczyć się trzeba koniecznie, lub z nudy umrzeć, i młodzi téż się uczą. To pewna żem się ja więcéj nauczył we Swisłoczy, niż przeszłych lat po innych szkołach. Wziąłem się do języków rossyjskiego, łacińskiego, greckiego. Nigdy nie zapomnę paradoksów cyceronowych na których sił moich probowałem.“ Te paradoksy były pierwszą pracą literacką Kraszewskiego. Najlepiéj maluje on pobyt w Swisłoczy i swoje położenie szkolnego literata w *Powieści bez tytułu*, a także podobno w powieści *Dola i niedola*. I tu i tam występuje figura pana Dyrektora, czyli dozorcy domowego, który pilnował uczniów, karmiąc ich kaszą z świecą łojową, dbając o to tylko głównie, żeby nikt nie odkrył w niéj samego *corpus delicti*, knota od świecy mianowicie. To była główna rzecz. Tu lepiéj, podobno umiano się poznać na wartości przyszłego literata. W kompozycyach alias ćwiczeniach stanął on wyżéj nad innych, co zwróciło nań oko nauczyciela literatury Leopolda Walickiego, brata Alfonsa Walickiego, zasłużonego tłomacza. Równie jak brat był uczniem Grodka, który wydał tylu zasłużonych mężów. On to zapewne dał wzór Kraszewskiemu do jego profesora literatury, jak dozorca jego pan Hołowko, służył za model pana Jacentego, dyrektora kwatery. W uczniu Stasiu Szurskim, przezwanym *Piwonią* od kolegów, poznajemy snadnie samego naszego autora. Oto jak go opisuje w *Powieści bez tytułu*, kiedy występował w klasie do odczytania swojego ćwiczenia na temat Wiosna. „Nareszcie przyszła koléj na małego chłopaczka z blond włosami, z niebieskiemi oczyma, zapiętego w mundurek wytarty, ale czysty, odzianego starannie i dosyć nieśmiałego, bo gdy mu czytać wypadło, cały się oblał krwią, zmieszał, seksterna pogubił, głosu znaléźć nie mógł i ledwie, po trzykroć zaczynając mógł nareszcie wiosnę swoją wyśpiewać. Wszystkie wiosny dotąd odczytywane były tylko poetyczną pisane prozą, ta pierwsza wystąpiła w rymowanéj szacie, i nie dziw, że jéj twórca tak się zarumienił, poczuwszy za późno zuchwalstwo swoje. I bał się tego co zrobił, i chętce oprzéć się nie mógł, sto razy darł ćwiczenie i powracał do niego, nareszcie na ogromną zebrawszy się odwagę, przyniósł do klasy z bijącem sercem, owoc rozkosznych i gorących dumań swoich dziewiczych. A trzeba wiedziéć, że ten, co tak śmiało zadanie zrobione przez wszystkich prozą, sam dobrowolnie w poezyą zamienił był nowym w szkole przybyszem do klasy, prawie nieznanym nauczycielowi, a niewiele zażyłym jeszcze z towarzyszami. Wystąpienie to niespodziane obudziło szmer podziwienia... wszyscy poczęli się trącać łokciami. Słysz! słysz! wołali, dalibóg Piwonia napisał wiersze! Zwali go Piwonią dla zarumienionej i krwią młodą ciągle nabiegłéj twarzy. Nauczyciel, który dotąd ledwie z nazwiska znał ucznia, zastanowił się wołając: co? co? wiersze? Cyt, cyt! rozległo się po całéj klasie. Oczy poczciwego nauczyciela z zajęciem, z sympatyą zwróciły się na młodego chłopaka. Zbliżył się do jego ławki, wsparł na niéj i spuściwszy po chwili źrenice słuchał milczący, zadumany. Ale to wytężenie uwagi wszystkich, zwrócenie oczu, uciszenie się klasy, odebrało ostatek niewielkiéj odwagi biednemu Piwonii; głos jego gasł, plątał się, i zabrakło tchu wreszcie. Dwie poczciwe łzy, łzy: które całą przyszłość jego wróżyły poecie, popłynęły po policzkach spalonych rumieńcem. Nauczycielowi przykro się zrobiło, może pomyślał, że ten który tak występował na ławie szkolnéj i na świecie sobie rady dać nie potrafi, może się ulitował nad biedakiem, dość, że powoli, ująwszy sekstern z rąk jego, zbliżył go do przymrużonych oczu i sam już czytał pocichu ową wierszowaną wiosnę. Tymczasem Piwonia stał palony oczyma wszystkich, stał jak pod pręgierzem i zdawało się, że wstyd niewczesny i bojaźń go spali. Uczniowie szeptali, wskazując sobie palcami poetę, który w téj chwili dostał już nowy przydomek. Jedni spoglądali na niego ze współczuciem, drudzy z ciekawością, inni z zawiścią prawie, a krok ten stanowczy, na który się nowy uczeń odważył, nie obrachowawszy sił swoich, już stanowisko jego względem całéj klasy na resztę lat nauki nieodwołalnie wykreślił. Z biednego ucznia oczy kolegów padały na twarz nauczyciela, szukając na niéj oznaki pochwały lub uśmiechu politowania, ale nic nie znalazły w bladych rysach zmęczonego człowieka, po których nie przesuwało się nigdy to, co dotknęło duszę. Czytał spokojnie, do samych oczu przybliżając papier, przebiegł ćwiczenie całe, oddał je Piwonii i skinął głową, przechodząc do następnego ucznia, nic nie powiedziawszy, wejrzeniem ukradkowem tylko mierząc młodego poetę. Ten usiadł, spuścił głową i z biciem serca, w milczeniu pozostał na ławie, do końca śmiertelnie długiéj godziny. A! niczem to było jeszcze wystąpić z tą nieszczęsną wiosną, niczem ją przeczytać, niczem pokazać poczciwemu nauczycielowi, ale po skończonéj godzinie jak się tu pokazać współuczniom, których szyderstwo chybić go nie mogło! Gdy zegar wybił dwunastą, a profesor zaczął na odgłos dwonka zbierać papiery, czapkę, chustkę i płaszcz, którego nigdy na sobie utrzymać nie mógł, Piwonia, czując zbliżającą się chwilę męczarni, ledwie nie umarł w duszy ze strachu.“ Krzyki niechęci i zawiści przeprowadziły poetę do dworku, a niechęć ta i zawiść odbiły się nawet na panu Jacentym, dozorcy domowym, suchym, długim, z wysoko zaczesanym czubem mężczyźnie, chodzącym w białym kożuchu szczelnie upiętym, za którym tkwiła tabakierka i chustka kraciasta.

Ten żywy, świeżo namalowany ustęp powieści jest widocznie narysowany z własnego doświadczenia i dlatego to zamieściliśmy go, jako widocznie jeden rozdział z autobiografii autora. Sam Kraszewski w przedmowie do dzieła napomyka o tem. Profesor literatury stał się odtąd protektorem, opiekunem i doradzcą młodego poety, on dostarczał mu książki i jemu to zapewne winien że we Swisłoczy, jak powiada w swoich *Obrazach z życia i podróży*, przeczytał tu dzieła Górnickiego, Reja, i Kochanowskiego. Dodaje jeszcze że trzy, czy cztery razy Molière wpadł mu do ręki, a zawsze nim jako nową znajomością cieszył się. Tu we Swisłoczy pisał rozprawę o przysłowiach, zbierał wypisy z autorów XVI w. oprócz tego ślęczał nad łaciną, uczył się słowiańskiego i ruskiego języków. Najpewniéj zwrócony na siebie uwadze profesora literatury winien był to, że tu właśnie, w Swisłoczy, otrzymał dwie nagrody a w końcu i świadectwo *maturitatis*. Teraz już miał jechać do uniwersytetu. Zdawało mi się, powiada, żem był poważnym człowiekiem; ręka napierała się do pióra, które mi potem tylu wytrącić chciało i tylu jeszcze usiłuje. Głowa paliła się nadziejami przyszłości, nigdy się nie mającemi ziścić. Jadąc koło kościoła *aniołów stróżów*, stojącego przy wyjeździe z miasteczka, modlił się do nich gorąco o to, aby go po dobréj drodze poprowadzili po świecie.

Wspomina jeszcze, że straszna burza z piorunami napadła go na wyjezdnem do Wilna i mówi: byłaż to przepowiednia burzy, w któréj tyle szwanko-

wać miałem i cierpiéć tyle? W Wilnie Kraszewski zapisał się na wydział medycyny. Wybór ten fakultetu, tak nieodpowiedni zdolnościom pełnego zapału młodzieńca, zdaje się był skutkiem woli rodziny. To zdaje się równie stwierdzać historya Stasia Szarskiego w *Powieści bez tytułu*. Zaburzenia przypadłe w tym czasie wydaliły go z uniwersytetu. Zdaje się, że przynajmniéj zmiana fakultetu musiałaby była zawsze nastąpić, sadząc z tego co autor nasz podaje o wrażeniach lekcyi i teatru anatomicznego w powieści swojéj: *Poeta i Świat*. Kraszewski przybył do uniwersytetu za dyrektorstwa Pelikana, a rektorstwa Nowosilcowa. Było to w roku szkolnym 1829/30. Do 19 marca 1832 roku przebył w gmachach pojezuickich. Opuściwszy te mury zajął się natychmiast przejrzeniem archiwów miejskich, do których mu wstęp otworzył generał-gubernator, książę Dołhoruki; jemu to była przypisana historya miasta Wilna. Niektórzy koledzy Kraszewskiego twierdzą, że szukając silnych wrażeń, a może wzorków do pisania, młody poeta szukał wypoczynku w kawiarniach i knajpach, grywał w karty i na bilardzie. Musiał był poznać tu takich ludzi, jakich wystawił w Bazylewiczu (Pow. bez tyt.), a było ich wtedy niemało w Wilnie.

Żeby oznajomić z młodzieżą ówczesną, przytoczę tu notatkę współczesnego okresowi temu człowieka, Adolfa z pod Bielska. Wielu z młodzieży, w okresie wystąpienia Kr. z uniwersytetu, nie cieszyło się dobrą opinią, jak to bywa zwyczajnie po zaburzeniach." Ukończywszy szkoły, pisze Adolf z pod Bielska, nie mogłem nic innego studyować daléj jak tylko medycynę w Wilnie. Przybywszy do Wilna w 1834 r., siedmnastoletni młodzieniec, dzieciak prawie, z kilkunastu rublami całego zapasu na życie i na naukę, do tego z najlichszem zdrowiem jeszcze, odrazu popadłem w najgorsze towarzystwo, a przecież byłem w pośród młodzieży akademickiéj, tylko nieco starszéj już ode mnie. I byłem tak cały rok. W towarzystwie téj młodzieży nie było prawie żadnych zasad, w ogóle obojętność na wszystko. Zdarzało się i tak, że ktoś kogoś podszedł i to mu nie szkodziło wcale w opinii. Mówiono tylko o nim, że to cała bestya, tęgi spekulant! Zdolności były dobre u młodzieży, ale grunt dobry tak rozchwiany i niepewny, jak prawdziwa trzęsawica błotna, na któréj budować cośkolwiek było trudno i niebezpiecznie. Wszystkiego tego jednakże, najpierwsza była przyczyna czysto materyalna, niedostatek i nędza. W akademii medycznéj młodzieży było tyle, ile niegdyś w uniwersytecie, bo na pierwszym kursie było około 300. Na tę młodzież nieszczęśliwą nikt z możniejszych ludzi nie zwracał poczciwéj uwagi, nikt nieobjawiał dla niéj współczucia. Młodzież więc, nie tyle z rozpusty ile z niedostatku łotrowała, się zaniedbując już przez to samo naukę. Potrzeba było koniecznie mniéj zdolnych, a więcéj zepsutych wydalić, żeby nie marnując czasu szukali sobie chleba na innem polu. Zrobiono więc roczny ekzamin jak najściślejszy i tym sposobem większą połowę młodzieży wydalono z Akademii. Na rok drugi powietrze się oczyściło, bo liczba głodnych a młodych była już o wiele mniejsza. Umierających z suchot było bardzo wielu, bo o głodzie wszystkiego uczyć się było potrzeba i jeszcze uczyć się po łacinie. Rok atoli drugi przeszedł obojętnie. W trzecim roku młodzież ta nieszczęśliwa, poniewierana, na którą nikt ze współczuciem nie spojrzał, poczęła była sama już ocykać się ze swéj obojętności i z wielu jeszcze swawoli. Powodem tego było przybycie do Wilna trupy niemieckiego teatru, do którego uczęszczali licznie starsi, majętniejsi ludzie, z porzuceniem i zapomnieniem własnego teatru. Któżby mógł pomyśléć, że owa, biedna młodzież akademicka znajdzie w sobie saméj, litość i współczucie dla swoich artystów? I to był pierwszy początek i przyczyna reakcyi, jaka nastąpiła w duchu młodzieży, która z siebie, przez dwa lata, wyrobiła się godnie na obywateli, pojmujących swe obowiązki. Nakoniec i publiczność poczęła się już oglądać na tę młodzież i zawstydziwszy się wreszcie saméj siebie, musiała ją odtąd szanować." Jak ten ustęp przypomina ducha czasu skreślonego w *Pow. bez tytułu*, ów ustęp, poczynający się entuzyastycznym wykrzykiem: „Sara przyjechała! Sara przyjechała!" Widać, że pojawienie się artystów niemieckich obudziło było w Wilnie życie ducha, wywołało w końcu reakcyę w trupie polskiéj i podzieliło młódź na koterye.

(*d. c. n.*)

Z ŻYCIA.

I.

Jak lilijka w wiosennéj swéj, świeżéj sukience,
Wonna; bezwiedne wonie rozlewa do koła,
Tak dziewczę, ze spojrzeniem i z duszą anioła,
Kwitło ciche, pod ramion matczynych osłoną,
Co tak tkliwie słoniły tę główkę pieszczoną,
Że miano nawet złego nieznanem jéj było....
Ach! gdybyż można samą macierzyństwa siłą
Wstrzymać grom, zawieszony nad drogą istotą!...
Jedna chwila... surowe przeznaczenia słowo
Wezwało wątłe dziecię na walkę życiową,
I pieszczona lilijka została sierotą!...
Sierotą... z wiarą w szczęście, w ludzi, i niestety!
Z nieświadomością dziecka, a z sercem kobiety!...

II.

W zapasy z życiem poszła nieznając, co życie.
Gdy klęczała u świeżéj, matczynéj mogiły,
Może serca własnego pytała się skrycie,
Pomna jak ją ramiona kochane tuliły:
„Czy podobna, by w ciężkiéj, życiowéj szermierce,
Zbrakło serc, kochających jak matczyne serce?..."
Z tą wiarą szła przed siebie, w wir świata... I może
Miałaby dość odwagi na walkę życiową,
Gdyby słowo pociechy i zachęty słowo,
Rzucono jéj niekiedy usty przyjaznemi...
Oni, jak wonna, rosa spadła w łono ziemi,
Wlałyby w nią zdrój siły... lecz wyroki Boże
Niezbadane... Więc próżno dziewczyna łzy roni,
Próżno ręce wyciąga po miłość do braci...
Och! widziano że słabnie, że resztę sił traci,
Nikt nie uczuł litości, nikt nie podał dłoni!...

* * *

Kiedy więc pierwsze „kocham" blaskiem srebrnéj zorzy
Błysło w sercu sierocem... czyż dziwna, że ona
Wyciągnęła z dziecięcą ufnością ramiona
Za złudą?... Ach! bo dla niéj to był Anioł Boży,
Co miał wieść ją przez życie... Niepojęta siła
Kazała wierzyć, kochać...

Kochała... wierzyła...

III.

A był to dramat cichy i świat o nim nie wie...
I Bóg nań patrzył zbliska, świat patrzył zdaleka,
Więc świat grzmotem oklasków obsypał człowieka,
Co, zręczny, zabrał serce dziewczęciu, a potem
Zgniótł to serce, i jeszcze obrzucił je błotem!...
Bo świat patrzył na słowa, a Bóg patrzył w serce,
Świat widział bohatera, Bóg widział mordercę!...

* * *

Patrzcie... tam .. drżące dziewczę twarz ukrywa w dłonie,
Głuche łkanie klęczącą pochyla ku ziemi...
Noc... cicha, uroczysta. Niebiosa srebrnemi
Gwiazd oczami patrzyły litośnie... Żal cichy
Spadał rosy kroplami na kwiatów kielichy,
Na pochylonéj brzozy konary zwieszone,
I na główkę dziewczęcia, na włosy, na skronie,
Że klęczała jak święta w męczeńskiéj koronie!...

Przed nią rzeka szumiącem korytem się toczy,
I klęcząca bezwiednie zwraca ku niéj oczy
W tych oczach strach i obłęd i rozpacz szalona.
Gwałtownem poruszeniem podniosła ramiona:
„O matko: matko moja!"........

. . . .

Znów cisza w przestworze...
Ty co głąb ludzkiéj myśli śledzisz, Wielki Boże!
Ty widzisz: świat swym sądem stawi ludzi dwoje:
Jego w pysznych salonach, ją tu, nad otchłanią:
To świat... Lecz jakież będą, Boże, sądy Twoje?
Na kogo klątwę rzucisz na niego, czy na nią?...

J.........

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

Eliza spojrzała niespokojnie na zegar.

— Zapomniałam o jednym sprawunku, rzekła biorąc napowrót kapelusz na głowę muszę wyjść na chwilę.

— Może Maryan pójdzie z tobą, ozwała się pani Apolonia.

— Nie chcę go wcale trudzić, odparła szybko Eliza, chodzenie z magazynu do magazynu, wybieranie towaru i targowanie się z włochami mimo napisu *prezzo fisco* nie jest dla mężczyzn przyjemne. Wezmę z sobą Francesca.

Rzekłszy to wypadła szybko z pokoju, a za chwilę widziała pani Apolonia z balkonu, jak Eliza w aksamitnéj zarzutce szła przez taras a za nią w lakierowanym marynarskim kapeluszu z błękitną długą wstęgą i srebrną herbową przepaską na ręce postępował okazały Francesco, który wieczorami odgrywa w chórach gondolierskich rolę pierwszego tenora a teraz jest zwykłym liberyjnym służącym. Eliza z takim służącym wyglądała bardzo wspaniale a biedni nie mieli nawet odwagi prosić ją o jałmużnę zwykłem swojem: *O fam*! Pani Apolonia cieszyła się z takiego szyku swojéj córki.

Tymczasem przebiegła Eliza szybko *piazzettę*. Pod arkadami królewskiego pałacu spotkała hrabiego.

— Jakiż gwałtowny interes miałeś pan do mnie o téj godzinie tak dla mnie niewygodnéj? zapytała Eliza swego towarzysza zaraz po przywitaniu.

— Może się usuniemy trochę na plac św. Marka, rzekł do niéj hrabia, tu straszna jest ciżba.

— I téj przyjemności nie odmówię panu, *monsieur le Comte*.

Przy wymówieniu tego tytułu przez Elizę obejrzał się jakiś jegomość na hrabiego Stella i trącił swego towarzysza.

— *Il conte di Palco*! szepnął do niego z uśmiechem.

Towarzysz nieznajomego spojrzał na hrabiego Stella i uśmiechnął się także.

Fala przechodzących porwała ich dalej, Eliza nic więcéj nie słyszała. Nie mogła sobie wytłomaczyć tego dziwnego przydomku, jaki dano jéj towarzyszowi. Zresztą był to przydomek niewinny i oznaczał loże teatru.

— Spodziewam się, rzekła na placu ś. Marka Eliza do hrabiego, spodziewam się że mi pan w krótkich słowach opowiesz interes, który pana przynaglił pisać do mnie.

— Po przyjeździe brata tak rzadko widuję panią, ozwał się hrabia, a w towarzystwie tak musimy zdala być od siebie, że gotów jestem przyzwyczaić się do siebie, że gotów jestem przyzwyczaić się do tego oddalenia i zapomniéć o naszych dawniejszych wspólnych intencyach!...

— I owszem nie staje panu w drodze do tego miłego zapomnienia, na którém zwykli mężczyźni wszystko kończyć.

Do tych na pozór obojętnych a nawet srogich słów dołączony był uśmiech i nawiasem wtrącone spojrzenie, które okazywało, że tego zapomnienia wcale nie obawia się piękna kobieta.

— Od niejakiego czasu traktujesz mnie pani jak swego niewolnika!

— I owszem mogę pana wypuścić na wolność!

— Ależ ja téj wolności nie pragnę.

— Pocóż się skarżysz na niewolę?

— Bo chcę, aby ona była zupełną!

— Wierzyłam dotąd, że do téj zupełności nic nie brakuje.

— Być może że z mojéj tylko strony... ze strony zaś pani.

— Z mojéj strony okazuje bardzo wiele wyrozumiałości, jeżeli przyjmuję uczucie, które pierwotnie dla kogo innego było przeznaczone.

— Zawsze jedne i te same wyrzuty.

— Przeczuwam dzisiejszy nagły interes pana.

— Aby panią widzieć i od niéj dowiedzieć się...

— Czy po wczorajszym wypadku Flaminia jest zdrowa... Nie prawdaż?

Hrabia pomilczał chwilę.

— Mówiąc prawdę, ozwał się po chwili, nie myślałem wcale teraz o Flaminii.

— Nie myślałeś pan o niéj? O niewdzięczni! Szalejecie za kobietą, a gdy szał się nie uda, zapominacie o niéj w chwili, gdy jéj życie może być zagrożone.

— Jakto? Czyż może być?

— Nie pytaj pan. Teraz nie masz pan prawa pytać, kto taką obojętność okazał téj, dla któréj niedawno szalał, ten nie wart potem żadnéj odpowiedzi.

— Pani!

— Wierzaj mi pan, że to więcéj mnie zmartwiło, niżeli miałbyś pan o mnie zapomniéć. To nieświadczy dobrze o sercu mężczyzny, który tylko najbliższym wrażeniom podlega.

— Pozwól mi pani.

— Nie pozwolę żadnych tłomaczeń, jesteś pan winnym. A teraz powiedz co mi chciałeś powiedziéć?

— Chciałem ostatecznie rozmówić się z panią...

— Względem czego?

— Względem naszych wspólnych intencyi na przyszłość...

— Na to masz pan jeszcze wiele czasu. Chociaż tak łatwo zapomniałeś o pierwszym szale, nie chcę jednak tak prędko z tego korzystać. Przeciwnie, to może we mnie wzniecić obawę, że kiedyś i ten drugi szał tak prędko przeminąć może.

— Pani mnie zadręczysz swojem zachowaniem się.

— A zresztą... *on revient toujoure à ces premiers amours*! Może jeszcze nawrócisz się pan do Flaminii.

— Do Flaminii?

— Sytuacya jest bardzo interesująca. Ona chora... może w tem osłabieniu usłyszy strunę serca, któréj dotąd nie słyszała. A dla pana jest sposobność okazania swego współczucia, niepokoju, a jeżeli to potrafisz, to nawet rozpaczaj.

Eliza roześmiała się rozkosznie.

— Pani przywodzisz mnie rzeczywiście do rozpaczy. Zawołał z wyrazem zmartwienia na twarzy hrabia.

— Ciekawam, jak to rozpacz może wyglądać, śmiejąc się ozwała się Eliza.

— Powiedz mi pani do czego to wszystko prowadzi?

Eliza spojrzała uprzejmie na hrabiego, potem wyjęła rękę z mufki i zaczęła się pilnie przyglądać. Rączka była w świeżéj duńskiéj rękawiczce, która z wdziękiem oddawała miniaturowe jéj rozmiary.

— Pytasz pan, do czego to prowadzi, ozwała się po krótkiem zamyśleniu, to może prowadzić albo do ołtarza w świątyni... albo... na dworzec kolei żelaznéj, gdzie się konwencyonalnie jak przystało na ludzi dobrze wychowanych, pożegnamy. Taka może być tylko alternatywa.

— Pani stawiasz mi przed oczami, niebo i piekło.

— Obawiasz się pan piekła?

— Na to może być tylko jedna odpowiedź.

— To na niebo zasłuż pan sobie... Może już nasza rozmowa skończona?

Hrabia przytrzymał ją za rękę.

— Nie odchodź pani, rzekł zmartwiony, przecież powiedz mi coś stanowczego. Dotąd zadawalnia to panią że ją kocham.

— A dla pana powinno wystarczyć, że na to zezwalam...

— Zlituj się pani.

— Chcesz tylko litości? Wstydź się pan. Mężczyzna który tylko litością chce się zadowolić, nie wart nawet spojrzenia.

— Chciałbym tylko...

— Na to co pan chcesz, trzeba sobie zasłużyć. Jeżeli kobieta kończy swoją karyerę małżeństwem, to musi być pewną że to małżeństwo szczęście jéj przyniesie. Ja zaś jeszcze téj wiary nie mam. Najprzód zbliżyłeś się pan do mnie jako rozbitek po lepszych nadziejach. Trzeba więc aby rana po tych nadziejach albo zupełnie się zabliźniła, albo napowrót otworzyła. W zabliźnienie jeszcze nie wierzę, a otworzenia się obawiam. Poczekajmy więc jeszcze czas niejaki.

— Przysięgam pani.

— Nie chcę przysiąg ale chce wytrwałości. Najprzód radabym widzieć więcéj u pana przywiązania dla swego utraconego ideału, jak pan to dzisiaj okazałeś. Kobieta nie może miéć za złe ubiegłych uczuć mężczyźnie, jeżeli im należytą pamięć poświęca, ale brzydzi się takim, który z nich szydzi...

— Czy słyszałaś kiedy pani?

— Nie słowa, ale postępowanie powinno za nas mówić. Niechże pan natychmiast pójdzie do Flaminii i kartę u portyera zostawi, pytając się o jéj zdrowie. Również wolno panu innym sposobem swoją pamięć okazać. Flaminia lubi białe kwiaty.

— I pani mnie do tego wyzywasz?

— Chcę abyś pan pokusy nie unikał.

— Czy sądzisz pani, że ta pokusa mogłaby górę wziąć nade mną?...

— Nic nie sądzę... przyszłość dopiero może okazać.

— Ach! Tak daleko odsuwasz pani tę przyszłość.

— Tem większe przyniesie mi szczęście, im z większą wiarą wkroczę w jéj progi.

Rzekłszy to Eliza podała hrabiemu z rozkosznym uśmiechem drobną rączkę a tymczasem skinęła mufką na Francesca, który z miną znawcy przyglądał się wyrobom złotniczym na wystawie sklepowéj.

Hrabia smutno spojrzał za odchodzącą.

XX.

Nastąpiła teraz sytuacya dla niektórych osób naszych bardzo naprężona. Choroba Flaminii przedłużała się nadspodziewanie. Po gwałtownem, gorączkowem wysileniu opadły jéj siły zupełnie. Żadnego fizycznego bólu nie cierpiała, była spokojną ale tak osłabioną, że zdawała się powoli zamierać. Wrażenie jakie sprawił na niéj palący się statek na wodach było tak silne, tak mocno uderzyło w jakąś tajemniczą, w głębi duszy ukrytą strunę, że wraz z tą struną rozstroiło nagle cały organizm.

Wrażenie to i następna choroba była dla niektórych osób dosyć ciekawą ale niezbadaną dotąd tajemnicą. Wprawdzie można ją było wytłomaczyć sobie w sposób bardzo prosty. Są ludzie którzy pewnych widoków z powodu właściwéj organizacyi swojéj nie znoszą. Jedni nie lubią kotów, innym spadający w zimie śnieg sprawia chorobę, drugim najmniejszy stuk odbiera przytomność. Tutaj jednak widziano jakąś inną starannie ukrytą przyczynę. Tak się przynajmniéj domyślano. Nie chciano jéj jednak badać z różnych powodów. Zbadanie téj przyczyny mogło albo od razu rozciąć zadzierzgający się węzeł stosunków nowych, czego sobie niektórzy wcale nie życzyli, albo przynajmniéj o wiele je osłabić, co także na owe stosunki mogłoby wywrzéć wpływ niemały. Była więc pewna obawa, która ukryte nadzieje starannie pielęgnowała, osłaniając ją przed każdym niebezpiecznym powiewem. Przynajmniéj nikt nie chciał być pierwszym, któryby śmiało zajrzał w jakąś otchłań tajemniczą a straszniejszą może dlatego, że ją dotąd tylko same napełniały domysły. Każdy odkładał tę chwilę ostatecznego wyjaśnienia do czasu, w którym zajdzie konieczna potrzeba. Zresztą mogła to być rzecz bardzo małéj wagi, a Flaminia widocznie nie lubiła nigdy dotykać tego przedmiotu. Również staruszka nie wspominała nigdy wyraźnie o tem, jakby do tego żadnego nie przywiązywała znaczenia.

Zresztą na pierwszym planie stała teraz choroba Flaminii. Niezagłębiano się w tajemnicze powody téj choroby, bo sama choroba dostatecznie wszystkich zajmowała. Dowiadywano się po kilka razy codziennie o jéj stanie, okazywano choréj bardzo wiele szczerego i niekłamanego współczucia, życzono jéj i sobie jak najprędszego wyzdrowienia, a wszelkie inne subtelniejsze obawy i nadzieje przeszły na dalszy plan.

Choroba czy raczéj niemoc Flaminii przeciągała się parę tygodni. Sytuacya przez to niektórych osób wikłała się coraz więcéj.

Najprzód już sama choroba osoby do któréj przywiązywały się różne myśli i uczucia otaczającéj ją grupy, wprowadziła niektórych z téj grupy w niezwykłe położenie, różne zupełnie od życia powszedniego, w którem układają się rzeczy według zwykłych, powszednich warunków.

Dla Maryana miało to położenie bardzo ważne skutki. Poczynająca się jego dla Flaminii miłość otrzymała przez to położenie bardzo wiele palnego materyału. Trwoga i obawa o życie ukochanéj osoby nastrajała coraz wyżéj uczucia jego serca, a różne troski, umartwienia i nadzieje ztąd wypływające składały się powoli na owe dzieje duszy, które właściwie każdą wyższą miłość stanowią.

Maryan czuł wyraźnie, że z każdym dniem, z każdą nową trwogą lub nadzieją coraz więcéj kocha osobę, bez któréj stawało się życie jego coraz więcéj niemożliwem. Coraz głębiéj wciskało to uczucie w serce jego, aż wreszcie dostało się do źródła życia i tam w jedno zlało się życie.

Niemniéj przyczyniła się do tego jeszcze jedna okoliczność. Ostatnia rozmowa Elizy z hrabią na placu św. Marka odniosła należyty skutek, jaki prawdopodobnie miała na widoku mądra kobieta.

A widoki Elizy były nawet tutaj bardzo zręcznie skomplikowane. Pewna swego zwycięztwa chciała przedewszystkiem taraz pomścić się na człowieku, który w pierwszéj chwili inną nad nią przenosił a dopiero jako rozbitek do niéj się zwrócił: chciała dzisiejsze przywiązanie jego podnieść swojem chłodniejszem zachowaniem się do temperatury gorętszéj a po za tem wszystkiem chciała jeszcze zyskać na czasie, który potrzebny był do bliższego rozpatrzenia się w stosunkach człowieka, któremu chce się powierzyć.

Taką była dziś miłość młodéj lecz doświadczonéj wdowy, na obronę jednak któréj można przypuszczać, że powyższe jéj zachowanie się niekoniecznie wypływało z świadomych głębszych a chłodniéjszych obliczeń. Mogło ono być naturalnym objawem jednego z owych serc kobiecych, dla których najwyższą jest rozkoszą, gdy mogą swoją ofiarą z pewnem okrucieństwem nawet bawić się. Szaléć za czemś, pragnąć tego całą duszą, drzéć z obawy utraty, a po zwycięztwie odpychać, pastwić się nad ofiarą i odchodzącą w ostre chwytać pazurki, są zwykłe takich serc przymioty.

Być może że włoski hrabia, za sprzeniewierzenie się swemu pierwszemu uczuciu wpadł jakby na karę w te złote i rozkoszne pazurki, które go tylko na taką przestrzeń od siebie odpychały, jaka pozwalała im napowrót uchwycić go i przy sobie przytrzymać.

Z tego może wypływała owa przymówka że hrabia tak prędko Flaminię zapomniał oraz łączyło się z tem życzenie, aby w chorobie o niéj pamiętał. Mógł to być z jednéj strony zręczny środek puszczenia sprawy hrabiego w odwłokę, na jakiéj zależało rozumnéj lubo bezmyślnie z sercem swojem igrającéj kobiecie: z drugiéj jednak strony było to bardzo zręcznym fortelem, aby zamaskować przed bratem do czasu prawdziwą sytuacyą a dla niego otworzyć taką, któraby go miała popchnąć do szybszego biegu w obranym raz kierunku.

Jeżeli więc owa rozmowa Elizy na placu św. Marka takie miała zadanie, to uwieńczył ją skutek bardzo pomyślny, nawet może pomyślniejszy, jak się spodziewała.

Eliza znała dobrze swego brata a może jeszcze lepiéj serce ludzkie. Wiedziała że bezpośrednio ani na brata ani na jego serce nie dobrze wpływać, skutek zaś téj rozmowy wywarł wpływ pożądany.

Hrabia, jak tego życzyła sobie Eliza, poszedł jeszcze tego samego dnia do hotelu, w którym mieszkała staruszka z Flaminią i u portyera zostawił kartę swoją z zapytaniem o zdrowie młodéj pacyentki. Na drugi dzień przyszedł znowu ale z bukietem białych kwiatów. Od tego czasu białe kwiaty stały zawsze na stoliku przy choréj Flaminii, o czem nie zapomniała nigdy Eliza donieść swemu bratu.

Tym sposobem skomplikowała się jeszcze więcéj sytuacya dla Maryana. Wystąpiła ona dla niego jeszcze groźniéj niżeli wtedy gdy po statnim liście Elizy z gorączką do Wenecyi jechał. Eliza uspokoiła go wtedy i dodała mu potrzebnéj nadziei. Zresztą samo zachowanie się hrabiego rozproszyło wszelkie jego obawy. Był tylko grzecznym towarzyszem różnych wycieczek i schadzek, a z drogi Maryanowi wyraźnie ustąpił. Maryan nic nie dojrzał, coby mogło wzbudzić w nim podejrzenie, że hrabia jeszcze o Flaminii myśli.

Dzisiaj rzecz się zmieniła. Choroba Flaminii jak widać podrażniła znowu serce hrabiego, który ten stan swego serca zaczął objawiać... codziennem przynoszeniem bukietów. Bukiety były z białych kwiatów, jakie najbardziéj lubiła Flaminia. Była to mowa dosyć zrozumiała.

Takiego objawu nie mógł obojętnie przyjąć Maryan. Zadrżał znowu na widok niebezpieczeństwa, o którem mniemał że już przeminęło. To podrażniło go i przyczyniło się w niemałéj części do podniesienia całego nastroju strun, które w sercu jego już brzmiały.

Maryan zaczął teraz także codziennie posyłać biednéj pacyentce bukiety a wybierał do tego kwiaty, o których sądził, że będą piękniejsze i milsze dla choréj od kwiatów hrabiego.

A każdy taki posłany bukiet zaznaczał się jedną kreską więcéj na hipotece serca, i rosły powoli te kreski, które kiedyś miały sprawić zupełne wywłaszczenie.

Wszystko złożyło się więc na to, aby w sercu Maryana dojrzało to wielkie uczucie, które w powszednim języku zwie się miłością dla kobiety.

Na jakim właściwie gruncie ta miłość się opierała, czy oprócz idealnego gruntu nie miała także pewnéj rzeczywistéj podstawy, jaka dla Maryana była prawie konieczną, o tem trudno wyrokować. Jakkolwiek Maryana nie można o to posądzać, aby najszlachetniejsze uczucia serca stawiał narówni z prostym interesem, to znowu z drugiéj strony nie można go było miéć za tak lekkomyślnego, aby nie wiedział, w jakiem jest położeniu a jakich warunków dzisiejsze życie wymaga i jakie są jego obowiązki.

Zdaje się jednak, że Maryan stronę materyalną swego nowego położenia uważał za rzecz mniejszéj wagi. W widocznem zachęceniu do tego kroku ze strony rodziców a osobliwie ze strony Elizy widział już pewną gwarancyą, że sprawa materyalna składa się w korzystnych dla niego warunkach i że o niéj na razie nie ma co myśléć a tem mniéj mówić. Prócz tego były nawet z téj strony kilka razy pewne wyraźne wskazówki, które mimowoli słyszał Maryan, a które mogły go zupełnie w tym względzie uspokoić, gdyby rzeczywiście czuł jaki niepokój.

Tak więc szybkim krokiem zbliżały się dwa serca do siebie pragnąc téj chwili, w któréj będą mogły wzajem otworzyć się i sobie wzajem to wszystko wypowiedziéć, co dotąd mieściło się w nich jako marzenie.

Takiem sawem pragnieniem przepełnione było serce Flaminii. Kochała ona już zacnego człowieka, którego za pośrednictwem przyjaciółki poznała do gruntu. Znała prawie całe jego życie, a dzieje tego życia splotły się z własnemi jéj dziejami. Niemoc fizyczna, jakby w przeciwieństwie do sił duszy rozwinęła jeszcze bardziéj te piękne uczucia, które dzisiaj napełniały to biedne sieroce dotąd serce dziewicy...

Sama Eliza przynosiła jéj kwiaty od brata, a prócz tego umiała jeszcze i dla biednego hrabiego tyle litości wyżebrać, że Flaminia dla przyjaciółki swojéj zrobiła to ustępstwo i bukiety hrabiego obok kwiatów Maryana na stole stawiać kazała.

Wszystko więc na pozór składało się dobrze, aby jedna para ludzi została szczęśliwą, a druga para osiągła jak najprędzéj to, czego sobie życzyła.

(d. c. n).

NA WYSPIE.

NOWELLA
Fr. Spielhagena.

przekład z niemieckiego

(Dalszy ciąg).

Rozdział XX.

Nieznośnie gorący dzień, zaświecił nad Nedurem. Rano dnia tego pan Radzca, płatnik i Gustaw na kuterze odpłynęli do miasta. Wkrótce po nich na łodzi sterniczej odjechał lekarz, a niezadługo pan von Elze wsiadł na przejeżdżający do głównego miasta pocztowy parowiec, gdyż prośbę o dymisyą osobiście chciał podać. Nakoniec i pan von Sanzen wraz z małżonką opuścił gościnny dom komendanta; długo jeszcze między Nedurem a innym przylądkiem dużéj wyspy, dojrzéć można było ładny ich statek szybujący po gładkiéj morza powierzchni.

Po obiedzie według zwyczaju poszedł Paweł do swego pokoju, gdzie na czytaniu i pisaniu spędzał popołudniowe godziny.

Dzisiaj, zaledwo parę stronnic Nowalisa poezyi przerzucił, gdy bezsenna prawie noc o prawa swoje dopominać się zaczęła, a mistyczne utwory wieszcze i upał szalony, uśpiły go na dobre. Marzył, i we śnie mu się wydało że tęsknotą pędzony przebiegał góry i lasy, nakoniec dotarł do skalistéj doliny, po nad którą potężnych drzew konary tworzyły gęste, zielone sklepienie. I tam w chłodnym zagajniku ujrzał rosnący kwiatek paproci, którego od lat tylu po świecie szukał nadaremnie; z uczuciem ukląkł przed nim, z zachwytem zapachem jego oddychał, i coraz głębiéj i głębiéj wpatrywał się w jego kielichy. Lecz niebawem jednak kielichy kwiatu zamieniły się w ciemne oczy dziewczęce i już zamiast przed paprocią klęczał przed uroczą postacią Heddy. Czy ty nie jesteś kwiatem paproci? zapytał smutnie, dziewczę potrząsło główką i uśmiechnęło się żałośnie. Kiedy tak, to nie kocham cię Heddo; bo ja tylko kwiat paproci kochać mogę! A gdy dziewczę powtórnie spojrzało na niego z tym samym tęsknym uśmiechem: Heddo powiedz mi, ty z pewnością wiedzieć musisz, gdzież rośnie ten kwiat cudowny? „Tu! szepnęła dziewczyna kładąc rękę na jego czole. Zaledwo poczuł dotknięcie téj miękkiéj ukochanéj dłoni, nieskończona boleść ogarnęła mu serce, potok łez gorących trysnął z jego oczu i obudził się płacząc głośno.

— To szczególne! zawołał Paweł powstając i przychodząc do siebie, śniłem jakby na jawie! spojrzał na zegarek, sen trwał zaledwo godzinę. Zeszedł na dół i dowiedział się że Hedda zaraz po obiedzie poszła do altany a Klementyna wyszła przed chwilą. Drogą przez wieś, poszedł za niemi, wkrótce dogonił Klementynę, która swoim zwyczajem, kroczyła powoli po białym mocno rozgrzanym piasku Na głowie miała duży słomiany kapelusz a w ręku niosła koszyczek.

— Klementyno! zaczekaj, pójdziemy razem; wołał Paweł.

— Teraz idę odwiedzić chorego, zatrzymując się rzekła; lecz wkrótce do altany wrócę.

— Odwiedzić chorego? zapewne syna Rickmana! Czy w taki upał chcesz winem chłodzić biednego człowieka? śmiejąc się pytał, gdyż ujrzał szyjkę butelki wystającéj z koszyczka.

— To wcale nie wino?

— Cóż to jest?

— Tego ci nie powiem! rzekła Klementyna przekładając koszyk z jednéj ręki w drugą.

— W takim razie sam się przekonam, i szybkim ruchem ręki podniósł pokrywkę. Na spodzie koszyka leżała butelka wody mieszcząca w sobie całą gromadę pijawek.

— Nie sądziłam że możesz być tak niegrzecznym! rnmieniąc się rzekła Klementyna i szybko koszyczek zamknęła.

— Wybacz Klementyno! naprawdę, nie chciałem ci zrobić przykrości.

Ona jakby się chcąc usprawiedliwić rzekła spokojnie: Lekarz polecił raz jeszcze przystawić pijawki, a że ci poczciwi ludzie nie mają nawet pojęcia jak się wziąć do tego, więc według zwyczaju udali się do mnie, gdyż przypuszczają że wszystko czego oni nie umieją, na tem ja znać się muszę.

— I ty je sama stawiać będziesz?

— Naturalnie, w tem nie mam się kim wyręczyć.

Paweł z podziwieniem spojrzał na tę młodą piękną kobietę która z tak wzruszającą prostotą, czynem wzniosłéj miłości bliźniego dawała dowody. I w tejże chwili pomyślał o tych salonowych damach, pełnych uczucia, poświęcenia, tkliwości, które wpadłyby w omdlenie, gdyby żądano od nich dotknięcia się chociaż jednego z tych wstrętnych stworzeń, a które dzisiaj, i to nie poraz pierwszy brała Klementyna do ręki: na myśl tę uczuł że jego oczy napełniły się łzami.

— Klementyno, gdybym nie wiedział że wstrętne są ci podobne hołdy, to z uwielbieniem ucałowałbym twoje ręce!

— Pawle bądź ostrożnym!— gdyż upał bardzo szkodliwie działa na takie głowy jak twoja; odpowiedziała z uśmiechem—i weszła do domu chorego.

— O Boże! jakiéj miłości, jakiegoż szacunku jest ona godną! mówił Paweł oddalając się szybko. A jakże piękną była, gdy oburzona moją śmiałością zarumieniła się aż po białe swe czoło! O! dlaczego kwiat paproci do niéj podobnym nie był?

I sen proroczy stanął mu żywo na myśli, a gdy się zatrzymał u wejścia do cienistéj altany i na jednéj z ławek ujrzał uśpioną Heddę, serce jego zabiło gwałtownie.

Książka którą czytała wysunęła się z jéj ręki i u jéj stóp leżała otwarta. Opartą była o wysoką poręcz; prawa jéj ręka spoczywała na kolanach, a lewą zarzuciła nad głowę: szeroki modny rękawek odsłaniał piękny kształt lśniącej białością ręki. Była to prześliczna rama dla snem zarumienionéj, ciemnemi zwojami włosów otoczonej, uroczéj twarzy młodéj dziewczyny. Tak jak przyszedł, cicho, niepostrzeżenie, już chciał się Paweł oddalić, ale jakby szatańską siłą ciągniony, zamiast odchodzić zbliżał się coraz, coraz to bardziéj, aż stanął tuż przy śpiącéj i zsunął się na kolana zatapiając wzrok w jéj obliczu. Szczególna siła wzroku która i na śpiącego wpływa, niebawem działać zaczęła; Hedda poruszyła się zlekka, a ręka jéj z po nad głowy powoli osunęła się na ramię Pawła. Na chwilę podniosła ciemne swe rzęsy, ale zapewne znać rzeczywistość mieszała się jeszcze z jéj sennem marzeniem, gdyż na wpół otwarte oczy zamknęły się znowu, miły uśmiech przebiegł po jéj twarzy, i Paweł uczuł jak piękne ramię zacisnęło się silniéj około jego szyi. I zawładnęło nim uczucie pełne rozkoszy, słodkiem pragnieniem zadrgało serce, ramiona jego otoczyły wiotką kibić dziewczyny, pochylił twarz swoją ku jéj licom, ale w chwili gdy jego usta już się jéj czoła dotknąć miały, z pod spuszczonych ciemnych rzęs wysunęły się dwie wielkie, jasne łzy i twarz jéj przed chwilą uśmiechnięta drgnęła i wyraz boleści przybrała. I znowu otworzyła oczy; lecz zanim się zdołała rozbudzić zupełnie, Paweł powstał zniknął już z altany.

— Co to było? zdawało mi się że tu jest Paweł, jakże śniłam wyraźnie! Podparła główkę ręką szepcząc: Czyżbym go kochała? czyż można dwóch kochać jednocześnie?

I za pierwszemi łzami popłynęły inne, i tak jak Paweł zapłakał gdy mu powiedział geniusz kwiatu paproci, że ów ideał za którym jego serce tęskni, żyje tylko w umyśle poety, tak teraz rzewnemi łzami płakała Hedda, gdy zamglony sen, przekonał jasno jéj rozbudzonego ducha, jak niestałem było jéj serce.

Rozdział XXI

Paweł oddalał się szybko, jak ktoś co przed chwilą przestępstwo popełnił. Idąc wybrzeżem napotkał swe własne ślady z wczorajszéj nocy; gdy przepełniony tak odmiennemi uczuciami tę samą drogę przebywał. Na miejscu gdzie wczoraj napotkał Gustawa, trawa była zdeptana; wycieńczony rzucił się na nią i otarł czoło na które kroplisty pot był wystąpił. Smutek i zniechęcenie owładnęło jego duszą.

Gorzko się roześmiał, gdy przyszły mu na myśl słowa które wczoraj rzekł do Gustawa:

— Cóż my wspólnego mamy z namiętnością? a jednak to nic innego jak namiętność! mówił do siebie półgłosem, pod któréj wpływem zapominam o wielkich planach, pomysłach, i tylu innych świetnych marzeniach na przyszłość! Ta namiętność do tego stopnia opanowała mój umysł; że śpiącéj dziewczynie omal nie skradłem pocałunku, tak jak łakome dziecko wykrada słodycze!

To dziewczę za dobre, za zacne, bym stosunek z nią chciał zamienić w zabawkę, w miłosną awanturkę, w które, Boże odpuść, życie moje aż nadto jest bogate;... a żenić się? dlatego iż zdaje mi się że bez niéj żyć bym nie mógł, to mrzonka! Mężczyzna nad którym do tego stopnia zapanuje kobieta, jest tchórzem! Teraz jak ptak żyję swobodnie, i czyż tę złotą wolność miałbym poświęcić, zamknąć się w ciasnej klatce i gruchać jak gołąbek?

Lecz kiedyś ten drogocenny skarb utracić trzeba, czyż będę go mógł zamienić na coś lepszego, piękniejszego? Cóż może zastąpić miłość téj uroczéj dziewczyny? I żywa jego wyobraźnia tworzyła prześliczną idyllę pełną czarownych obrazów życia wśród pracy naukowéj przy boku pięknéj i rozumnéj żony:

— Hola! zawołał zrywając się nagle, choć to wygląda ponętnie, łudząco, ale się złapać nie dam! Zaraz, jutro odjadę, już i tak bawię tu za długo. I poszedł daléj brzegiem ku zachodniéj części wyspy, i nie stanął aż na ostatnim jéj krańcu, gdzie zaledwo parę stóp kwadratowych dzieliło go od morza. Morze było spokojne i gładkie, a z błękitnego nieba pokrytego lekkiemi białemi chmurkami, bezlitośnie paliło słońce, mewy krążyły po nad brzegiem i przeraźliwie krzycząc zapowiadały burzę, która od południowéj groziła strony. Od czasu do czasu wiatr silny zawiewał, a wkrótce w ślad za nim i czarny hufiec chmur nasunął których brzegi złowrogo w słońcu jaśniały. Posuwały się wolno w górę, podobnie jak olbrzymia kolumna w wojennym pochodzie; głuchy grzmot i świszczące wiatru głosy na przemian duet swój zaczęły, a niekiedy z łona czarnéj chmur massy, zaświeciła krwawa błyskawica.

Nareszcie pierwszy uderzył piorun, powstała burza, wyjąca, wściekła, niczem niepowstrzymana. W jednéj chwili cały Nedur zniknął w obłokach piasku i piany morskiéj, a Paweł rzucił się na kolana by z wązkiego pasma ziemi nie być do morza strąconym. W przeciągu kilku minut noc prawie powstała, a błyskawice tak szybko następowały po sobie, że tworzyły jedno nieustanne światło; grzmoty huczały, pioruny biły nieustannie, szumiał deszcz ulewny, a fale wznosiły się ciągle i z łoskotem odbijały się o wybrzeże.

Paweł powróciwszy do domu zastał ruch niezwykły, służba szeptała między sobą i krzątała się pilnie. Gdy wszedł do ogrodowéj sali, Hedda stała przy oknie.

— Bogu dzięki że pan przychodzisz! zawołała z radością, ale gdzież jest Klementyna?

— Zapewne musi być jeszcze u Rickmana, natychmiast idę po nią.

— Nie chodź pan! rzekła z trwogą, ona tam w dobrem schronieniu, bezpieczniejsza nawet jak my tutaj. Czyż to nie przerażający widok? mówiła wskazując na morze, które przed chwilą błękitne i spokojne, teraz jak daleko oko sięgnąć mogło przedstawiało wzburzoną, piętrzącemi się falami okrytą powierzchnię. Na samą myśl usłyszenia rozkazu: *łódź na wodę*! drżę cała. Wśród takiéj burzy któżby się ważył wypłynąć? rzekł Paweł. Mało kto, ale mój ojciec z pewnością! Boże! czyż nie przeczuwałam! zawołała załamując ręce, gdyż w tejże chwili rozległ się wyrazny choć zagłuszony burzą, dobrze znany sygnał. I ujrzeli kilku sterników spieszących ku wybrzeżu a na czele ich był komendant. Chodźmy Pawle, prędko, prędko! wołała Hedda raz jeszcze ojca zobaczyć muszę! Drzwi zamknięte! zawołał Paweł; to wiatr tak mocno je zatrzasnął, i nie bez trudności Paweł silnem ramieniem zdołał je otworzyć.

— To się nie uda, tutaj żadnéj łodzi nie spuścimy na morze. Czy nie ma jakiéj po drugiéj stronie? wołał komendant, w chwili gdy Hedda i Paweł stanęli nad brzegiem. Jest jedna panie komendancie, łódź Rickmana. To tę weźmiemy. I natychmiast wszyscy w przeciwną udali się stronę. Tutaj morze było spokojniejsze, w mgnieniu oka spuszczono łódź i przygotowano wszystko do odbicia od brzegu. Teraz dopiero po raz pierwszy zwrócił się komendant do córki, z zapłakanéj jéj twarzy odgarnął włosy i pocałowawszy ją w czoło mówił pieszczotliwie: No, idź już do domku Hedko i nie bój się, niebezpieczeństwo wydaje się większe niż jest rzeczywiście; potem serdecznie uścisnął dłoń Pawła i spojrzał na niego wzrokiem, który zdawał się mówić wyraźnie: Jeżeli nie wrócę, nie opuszczaj jéj! odwrócił się i brnąc w wodzie zbliżył się do łodzi w któréj już siedział stary Rickman i jeden z młodszych sterników. Łódź pomknęła szybko, przesunęła się wzdłuż wybrzeża i wkrótce za ławą piasku zniknęła w ciemnościach nocy. Pozostali, pospieszyli na drugą stronę wybrzeża, na wzniesione miejsce zkąd na nowo łódź najlepiéj dojrzéć mogli. Czy nie pójdzie pani do domu? pytał Paweł dziewczyny, która blada i drżąca opierała się na jego ramieniu. Nie, nie! mówiła ona, jak mogłabym wytrzymać w domu, gdy wiem że mój ojciec walczy ze śmiercią! Tak źle nie jest panno Heddo! wkrótce powróci on do nas na swoim wozie tryumfalnym, ciągnionym białemi rumakami fal.

Zaledwo to wymówił, łódź znowu ukazała się na wzburzonych falach; jeden tylko żagiel był rozpięty, mimo tego jak błyskawica szybko przebiegła koło wyspy, o jakie dwieście kroków od brzegu. U steru siedział komendant, a gdy przejeżdżał naprzeciw miejsca gdzie stali Hedda, Paweł i retmani, skłaniając się poniósł rękę do niebieskiéj swojéj czapki, a małe grono u brzegu stojące po trzykroć głośnym odpowiedziało hura, w górę wyrzucając czapki, kapelusze, Hedda powiewała chustką i głośnym wybuchnęła płaczem. Jeden ze sterników przystąpił, i podając swój kaftan Pawłowi, wskazał

na Heddę. Paweł zrozumiał i tem ciężkiem odzieniem okrył wysmukłą, drżącą od zimna i obawy dziewczynę, jéj kibić swoim ramieniem otoczył i podtrzymywał ją silnie, gdyż zdawało się że lada chwila rozszalały wicher w morze ich zmiecie. Dziwnym zrządzeniem losu już po raz drugi trzymał to dziewczę w swoich objęciach, lecz dzisiaj serce jego już nie biło tak błogim spokojem, jak owego wieczora gdy z mogił Hunnów na Nedur wracali. Pomimo całéj grozy otaczającéj go sceny, głęboko odczuwał upajającą słodycz chwili obecnéj, a gdy wicher jéj sukienką powiewał, patrzał z zachwytem, jak gdyby po raz pierwszy, na zgrabne malutkie jéj nóżki; dziko wyjący orkan, był dla niego w téj chwili zalotną do tańca muzyką. Oczy Heddy śledziły małą łódź falami miotaną; teraz minęła już wyspę, skręciła się i na pełne wypłynęła morze.

— Gdzie właściwie jest okręt? pierwszy zapytał Paweł. Tam! odparł stary sternik wskazując ręką na pewien punkt horyzontu; lecz by cokolwiek bądź módz rozpoznać przez deszcz i morską pianę, którą wicher w samą twarz im miotał, trzeba było wprawnego wzroku marynarza. Czy to duży okręt? daléj pytał Paweł. Wielki parowiec, odpowiedział stary. Rozmawiający chociaż tuż koło siebie stali, krzyczeli jak mogli najgłośniéj. Dlaczego nie stara się wypłynąć na pełne morze? ciągnął Paweł.

— Zapewne poprzednio uszkodzony być musiał, i już się burzy oprzéć nie może.

— To szwed! zauważył jeden ze sterników.

— Ty sam szwed! niecierpliwie odparł drugi, przecież to nasz *Neptun*, znam go tak dobrze jak łódź własną, rok cały przebyłem na nim. Na te słowa Paweł uczuł jak Hedda cała się zatrzęsła i silniéj wsparła na jego ramieniu.

— Sąsiedzie, wróćmy do domu! rzekła głosem zaledwo dosłyszanym.

Rozdział XXII.

Właśnie po raz drugi pokazywała i tłomaczyła Klementyna staréj matce chorego, jak przyciskając do ran wilgotną gąbkę ułatwia się odpływ krwi, gdy grzmoty i nagła ciemność zmusiły ją do powrotu. Zaledwo uszła część drogi, burza z taką gwałtownością zerwała się i wzmogła że co prędzéj musiała schronić się do najbliższego domku, Zamieszkiwał go stary sternik wraz z córką, która jedna tylko ze wszystkich dzieci pozostała jeszcze w domu; była to wysmukła, ładna dziewiętnastoletnia dziewczyna, o ciemnych bujnych włosach i siwych oczach, patrzących sprytnie choć nieśmiało.

Klementyna wszedłszy do nizkiéj izby ujrzała na środku Maryą, klęczącą przed stołkiem; dziewczyna z twarzą w rękach ukrytą łkała głośno i drżała tak silnie, że Klementyna sądząc że tak bardzo obawia się burzy, przystąpiła do niéj i kładąc rękę na jéj ramieniu rzekła łagodnie: Ależ Maryo, jak możesz być tak dziecinną.

Dziewczyna podniosła ładną łzami zalaną twarzyczkę i prawie konwulsyjnie chwyciła ręce młodéj kobiety: Ach! to pani inspektorowa! jakie szczęście! proszę! błagam! nie zostawiaj mnie pani samą, umieram ze strachu!

W téj chwili błyskawica oświetliła pokój, a w pobliżu uderzył piorun tak silnie, że aż zadrżał dom cały. To okropne! z przerażeniem zawołała Marya, i twarz ukryła na kolanach Klementyny.

— Tego Maryo zanadto. Czegóż się boisz moje dziecię? wszak widzisz że ja jestem spokojna.

— Ach! Pani? to rzecz inna, pani nie ma się czego lękać!... ale ja!... łkając mówiło dziewczę.

— Ty?... A to dlaczego?

Marya podniosła głowę, badawczo spojrzała w pochyloną nad nią twarz Klementyny i rzekła półgłosem.

— Bo pani jesteś dobrą.

— A tyż nią nie jesteś?

— Ja? Ach pani inspektorowo, ja jestem nie dobrą, bardzo złą dziewczyną.

I znowu na łonie młodéj kobiety ukryła twarz swoją i tak serdecznie płakała jakby jéj serce pękało z żalu i boleści.

— Co tobie Maryo? spytała Klementyna naprawdę już zaniepokojona tą niewytłomaczoną bojaźnią dziewczyny. Tobie coś cięży na sercu. Powiedz mi twoje zmartwienie, wszak wiesz że ja ci dobrze życzę.

Dziewczyna, znowu badawczo spojrzała na Klementynę i rzekła cicho, zaledwo zrozumiałym głosem: Powiedz mi pani, czy to prawda co wszyscy mówią, że on został wielkim panem, i że wyjechał by już więcéj nie wrócić?

— Kto on?... o kim mówisz? blednąc spytała Klementyna.

— O nim! o poruczniku. On już pewno nie wróci. Co ja pocznę! co ja pocznę nieszczęśliwa?

— Nic ciebie nie rozumiem, rzekła Klementyna, twój płacz i narzekania nic ci nie pomogą, odejdę zaraz, jeżeli nie będziesz mówić wyraźniéj.

— Niech pani się zmiłuje! niech pani nie odchodzi! zawołało dziewczę tuląc się do niéj; powiem! powiem już wszystko a pani będzie miéć litość nade mną!

I rumieniąc się, to blednąc na przemiany, poczęła cichym szeptem opowiadać młodéj kobiecie jedną z tych codziennych historyi które przy kieliszku, w ustach rozpustnéj młodzieży, brzmią niby tak wesoło, ale które tak pełne są rzewnego, rozdzierającego bólu, gdy ich bohaterka a zarazem ofiara, głosem łzawym, ze szczerą skruchą i twarzą wstydem oblaną, spowiada się przed szlachetną duszą litościwéj, zacnéj kobiety. A była to jedna z tych historyi, gdzie gminna zmysłowość z pomocą zręcznéj chytrości, odniosła łatwe, hańbiące zwycięztwo nad młodością i niedoświadczeniem.

Dziewczyna spowiedź swą skończyła, a Klementyna blada i milcząca zaczęła się zbierać do wyjścia.

I pani odchodzi, nie pocieszywszy mnie choć jednem dobrem słowem? błagało dziewczę. Jeżeli mnie pani opuści, to nikt już nie ulituje się nade mną!

— Biedne dziecię, rzekła Klementyna łagodnie, ja ciebie nie opuszczę, zajmę się tobą tak, ja gdybyś była nieszczęśliwą siostrą moją. Bądź dobrą, pokorną, a Bóg, do którego się modlisz może ci przebaczy. Wszak wszyscy potrzebujemy miłosierdzia Jego! to mówiąc pocałowała ją w czoło a nie zważając na deszcz i burzę wyszła z chaty; biedna zapłakana dziewczyna załamawszy ręce z uwielbieniem patrzyła na nią.

(*d. c. n.*)

Korespondencya z Niemiec.

Srebrne wesele cesarza Franciszka i cesarzowéj Elżbiety. Ogólna nędza i podwyższenie podatków w cesarstwie niemieckiem. Nowa taryfa celna. O wpływie kolei żelaznych na wyludnianie wsi. Ruch wydawniczy w Niemczech. Dzieło Scher'a o ostatniéj wojnie francuzko-niemieckiéj. „Dawne i nowe czasy" ostatnie dzieło Fryderyka von Weech. „Traktaty dyplomatyczne z czasów rewolucyi francuzkiéj" p. Hermana Hüffer. „Podróż po Oceanie spokojnym" Maksa Buchner'a. „Wrażenie z podróży na około świata" p. kapitana Freiherr. Gustawa Freytag ostatni utwór, p. n. „Les Grandidiers." Wilhelma Jensen romans historyczny p. n. „Za tron cesarski." Człowiek przedhistoryczny w krajach północnych i w Polsce. P. Starks „Archeologia sztuki." Nowy dramat pięcio aktowy Gustawa Pullitz p. n. „Rolf Berndt Sztuczka jednoaktowa Auerbacha p. n. „Szczególniejsza kobieta."

(dokończenie)

Drugą nowością jest romans historyczny p. Wilhelma Jensen, z czasów wojny trzydziestoletniéj. Autor jest ulubieńcem publiczności; obdarzony nader żywą wyobraźnią, umie przedstawiać charaktery bardzo wydatne i obmyślać nader dramatyczne położenia. Tytuł nowego utworu: „*Za tron cesarski*". Styl ładny, obrazowanie pełne życia. Najżywsze budzi zajęcie historya i śmierć jednego z bohaterów, księcia Bernarda Wejmarskiego, który zginął podczas oblężenia Brisach, oraz dzieje miłości Reginy i Randi'ego, którzy po długich przejściach i ciężkich próbach, łączą się z sobą nareszcie. Ciekawą jest także postać Klemencyi d'Aiguillon, siostrzenicy kardynała Richelieu, oraz niewinnéj i łagodnéj Berty Scharzbourg, rażącą sprzeczność stanowiącéj z Klemencyą. Opisy są wyborne ; i doskonale wykończone; krajobrazy odmalowane mistrzowsko, z głębokiem poczuciem natury. Niezrównana jest scena przedstawiająca pierwsze spotkanie się Reginy i Randi'ego, oraz nocne widzenie się Klemencyi z księciem Bernardem Wejmarskim.

Uczeni europejscy z gorączkową działalnością oddają się obecnie badaniom człowieka przedhistorycznego, i możnaby obiecywać sobie iż z tych wszystkich badań i odkryć niezadługo tryśnie światło rozjaśniające całą ciemną nieznośną przeszłość, gdyby badacze ci wszyscy do jednakich dochodzili wniosków.

Anglia najpierwsza odznaczyła się na polu poszukiwań i badań żywiołów geologicznych, uważanych za najstarożytniejsze dokumenta do dziejów ludzkości. Niebawem wstąpiły w jéj ślady Niemcy, Francya i Włochy. Pozakładano stowarzyszenia, zebrania, zbiory i muzea, mające ułatwić, rozkrzewić i zjednoczyć te zajmujące poszukiwania. Nie dają się wyprzedzać na téj drodze, Słowianie wschodni i północne kraje Europy: główne rezultata prac przez nich podjętych, ogłosili pp. Albin Kohn, w Poznaniu i Meblis, w Dürkheim. Archeologowie z professyi lub z amatorstwa, przebiegli Polskę, Galicyą i Rossyą, aby im wydrzeć tajemnice ukryte w ich łonie.

Wielką to stanowi zaletę wyż wymienionych uczonych, że nienaśladując niemieckiéj manii nieskończonego dogmatyzowania, poprzestali na dokładnem opisaniu przeszukiwanych miejscowości, odnalezionych przedmiotów, dodając jedynie niezbędne objaśnienia. Nie wygłosili także żadnéj teoryi co do wieku odkopanych grobowców, urn i kości znalezionych w pieczarach.

Poszukiwania te wykazały że zarówno jak i inne okolice i Północ miała swoich troglodytów, mieszkańców jaskiń, którzy najpierwsi zamieszkiwali kraje położone między Baltykiem a morzem Czarnem. Nieznaleziono wprawdzie ich kości w skalistych grotach podziemnych, ale bo też nie mieli zwyczaju grzebania zmarłych, ale napytykają narzędzia kamienne, świadczące dostatecznie o obecności człowieka. Garncarstwo pojawia się prawie jednocześnie z człowiekiem, jest to może pierwsza sztuka, pierwszy przemysł przynoszący zaszczyt intelligencyi człowieka. Wyrodziła go potrzeba czerpania i przechowywania wody.

W jaskiniach zamieszkiwanych pierwotnie przez

troglodytów polskich, znajdują kości mammuta, niedźwiedzia jaskiniowego, renifera, lisa polarnego, hyeny, rodzaju antylop, koni, wilków, borsuków i niektórych ptaków.

W Polsce odkopano najrozmaitsze cmentarzyska. Pan Albin Kohn nader przezornie wyraża się co do wieku z jakiego pochodzą. „Człowiek, mówi on, uczy się wiele najpierw od przyrody a następnie od bliźnich swoich, ale ma to miejsce wówczas dopiero gdy dosięgnął pewnego stopnia cywilizacyi. Po dziś dzień jeszcze mieszkańcy Patagonii, ostrza strzał swoich wyrabiają z krzemieni, zupełnie tak samo jak znajdywane w jaskiniach nad brzegami Wołgi.“ Pierwsi mieszkańcy naszego świata osiedlali się głównie w miejscowościach w których mogli najłatwiéj zaspokoić swoje potrzeby, a więc głównie na wybrzeżach rzek. Dowodzi tego wielka liczba cmentarzysk znajdowanych w takich miejscowościach, choć wiadomo jest niewątpliwie że zarówno grzebali jak i palili ciała zmarłych. Dlatego to obok szkieletów odnajdują urny zawierające popioły. Obok zmarłych palono także żyjące istoty, niewolników z ich panami; Słowianie rusińscy jeszcze w X wieku palili swych zmarłych.

Odkopane grobowce kobiet przekonywają, że nawet w czasach przedhistorycznych kobiety kochały się w ozdobach i kosztownościach. Damy litewskie, z owéj epoki, nosiły we włosach bronzowe pierścienie. Często bardzo diademy zdobiły ich czoła, nosiły także naszyjniki, kolce i bransolety, i to po trzy lub cztery na każdéj ręce, zupełnie odmiennéj formy. W niektórych takich grobowcach znaleziono ślady tkanek i skór wyprawnych. Bursztyn wielką rolę odgrywa w ozdobach. Najwięcéj zwraca uwagę wielka ilość małych łzawnic napotykanych w grobowcach.

Archeologia jest nauką wyrabiającą się nieustannie, z każdym dniem uczone stowarzyszenia i zapaleni miłośnicy dorzucają po cegiełce do rozpoczętego gmachu. Nie łatwo jest określić odrazu stan téj nauki w pewnéj danéj chwili i przedstawić go jasno i przystępnie czytelnikom pragnącym zdać sobie sprawę z jéj postępu i rozwoju jakiego dosięgła bez zapuszczania się w zawiłe poszukiwania do jakich nie jeden nie ma ani czasu ani ochoty. Od roku 1847 nie pojawiło się w Niemczech żadne dzieło traktujące o archeologii, to też świat literacki przyjął z uznaniem świeżą wydaną przez p. Starko: *Archeologią sztuki*. Nikt nie mógł być odpowiedniejszym do napisania takiego dzieła. Pan Starks pisarz z wielkim talentem, obdarzony zmysłem filozoficznym, znajomością sztuki, estetyczną wrażliwością, żywością i świeżością uczuć, ma szczególny dar przekazania tych przymiotów swoim czytelnikom. Całe dzieło ma obejmować trzy tomy, z których pierwszy obecnie wyszedł z druku; będzie to najdokładniejszy traktat w tym rodzaju. Co tylko wchodzi w zakres archeologii, oraz metody i sposoby badań i dochodzeń, oraz całe jéj dzieje, są to jasno i dokładnie przedstawione. Autor przedstawia archeologią „jako naukę zajmującą się sztukami pięknemi w przeszłości“ i za główną jéj podstawę wskazuje estetykę. Ze stanowiska historycznego, autor nie ogranicza się do starożytności klassycznéj, ale przedstawia dzieje odkryć archeologicznych w Azyi, w północnéj Afryce i w Egipcie.

Przechodząc na pole dramatyczne, mam kilka nowości do zaznaczenia.

I tak w Carlsruhe przedstawiono nowy dramat w pięciu aktach, Gustawa Putlitz. Sztuka zyskała wielkie powodzenie i autor kilkakrotnie został przywołany. Pisarz ten utworzył już cały szereg dobrych sztuk teatralnych, ale ostatnia przewyższa jeszcze dawniejsze. Wybór przedmiotu nader szczęśliwy, cały dramat z życia powszedniego przesuwa się przed oczami widzów.

Tytuł dramatu *Rolf Bernadt*. Bohater długo przebywał na obczyźnie i zebrał tam wielki majątek z którym powraca do kraju, gdzie staje się przedmiotem niecnych zazdrości i niechęci znakomitości małego miasteczka, nie mogących mu darować że ich usunął na drugi plan. Aby go poniżyć w opinii wywłóczą, dawno zapomniane wykroczenia młodego jego brata który już znik z horyzontu, a do ośmieszenia go posługuje im mieszczańska próżność matki Rolfa, za nadto dumnéj i chełpiącéj się bogactwem syna. Do jakichże to nie uciekają się intryg i podstępów, aby go skłonić do opuszczenia miasteczka, a nadewszystko nie dopuścić mu poślubić młodéj dobrego urodzenia dziewczyny, któréj serce pozyskać umiał. Ale wszelkie intrygi i potwarze nie zachwiały miłości narzeczonéj Rolfa, która umiała ocenić poczciwe jego serce i szlachetny charakter. Nareszcie pewnego dnia Rolf dowiaduje się od własnej matki, że późno w nocy, nieznajomy jakiś wychodził skrytemi drzwiami z mieszkania jego narzeczonej—nie daje temu wiary, ale dostarczają mu dostatecznie przekonywających dowodów. Był to dla niego cios tak boleśny, iż zrozpaczony postanawia opuścić kraj rodzinny gdzie go tak niegościnnie przyjęto, aż tu dowiaduje się iż jakiś nieznajomy, którego nazwiska nawet nie zna, publicznie stanął w jego obronie i tak ostro odpowiedział potwarcom iż dało to powód do pojedynku, w którym ów nieznajomy ma się bić za niego. Udał się zaraz do niego i z rozmowy dowiaduje się iż jest to właśnie ten którego widziano w nocy wychodzącego z mieszkania jego narzeczonéj. Oznajmia on mu że kiedyś kochał się w Gertrudzie i do dziś dnia ma dla niéj największy szacunek. Złudzony wielkiém podobieństwem Rolfa do jego zaginionego brata, przyszedł do Gertrudy aby ją przestrzedz ażeby nie oddawała ręki podobnemu nikczemnikowi, a widząc ią niespodziewanie wchodzącą w towarzystwie Rolfa, ukrył się chcąc usłyszéć ich rozmowę, która przekonała go że się myli i że narzeczony jéj jest najzacniejszym i najszlachetniejszym człowiekiem, i dlatego stanął w jego obronie i bije się chętnie za niego aby mu dać publicznie dowód szacunku i uznania.

Rozmowa ta jednoczy dwa zacne serca węzłem dozgonnéj przyjaźni, a nadto Gertruda dowiedziawszy się iż narzeczony ma zamiar opuścić miasto i wyjechać za granicę, przybiega oznajmić że z nim pójdzie chętnie choćby na krańce świata. Tak więc wszystko złe dobrze się kończy, a interes nie tylko nie słabnie ale wzmaga się z każdą chwilą. Charaktery są prawdziwe i dobrze przeprowadzone, sceny nader zręcznie ułożone. Dyalogi pełne werwy, ciepła i życia—słowem jeden z najlepszych tegoczesnych dramatów niemieckich.

Inny romansopisarz rozgłośną cieszący się sławą, raz jeszcze pokusił się probować utworów scenicznych i teraz nie dopisała mu kapryśna muza dramatyczna. Ilekroć Auerbach zapragnął nowym laurem ozdobić swe skronie, dosięgał co najwyżéj „przyzwoitego powodzenia“ i to tylko dzięki pochlebstwu swych przyjaciół i względności krytyków dla głośnych autorów. Zdaje się chyba przestanie się łudzić słynny autor „w Pałacu i w Chatce“ talentem swoim dramatycznym, po przedstawieniu ostatniéj swojéj jednoaktowéj sztuki „*Szczególniejsza kobieta*“. Samo tylko głośne nazwisko autora, nie dozwala osądzić ją sumarycznie, jak nie dozwoliło złożyć *ad acta* zamiast przedstawiać! *Szczególniejsza kobieta* jest to młoda wdowa dodająca sobie lat aby zniechęcić konkurenta którego stałości nie dowierza. A że w ogóle „posądzają“ kobiety że sobie lata kradną, więc niechętni wyprowadzili wniosek iż musi być jeszcze kilka lat starszą niż mówi. Ktoś w jakimś złym zamiarze wyjmuje jéj metrykę, która przekonywa o rzeczywistym jéj wieku, i następuje ogólne zdziwienie co to za *szczególniejsza kobieta*. Pomysł dowcipny ale obrobienie bardzo słabe, dialogi pozbawione werwy i życia; jaki zręczny wodewilista francuzki posiadający wprawę sceniczną, umiałby zrobić z tego coś arcyzabawnego, Auerbach zrobił fiasko.

OPIS RYCINY KOLOROWÉJ.

Ubranie spacerowe z mantylą. Suknia z tuniką i ze stanikiem z baskiną z beszu piaskowego koloru, ozdobiona szlaczkami haftowanemi jedwabiem bronzowym, plisowanemi pliskami. Mantyla z czarnéj Sucyljeny, garnirowana koronką, frendzlą marabutową i kokardami z wstążki atłasowéj. Czarny bastowy kapelusz ubrany atłasem, piórami i różami.

Ubranie z vêtement à panier, z materyału gładkiego i w rzucik, ryc. 2 i 3 przedstawia z tyłu i z przodu. Vêtement z długą frakową baskiną i szeroko otwartemi przodami kamizelką, dopełnia draperja „à panier“ któréj części szarfowe mocno sfałdowane z przodu, przyczepiane są na kamizelce, a z tyłu upięte są na sposób na ryc. 2 wskazany. Szeroka kwaścikowa frendzla zdobi draperyą Kapelusz czarny bastowy ubrany białą bretońską koronką piórami i różami. Parasolik z materjału w rzucik podszyty białym fularem.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 28 Мая 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

SZALONE OŻENIENIE.

przez

M. A. Fleming.

przekład z Angielskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

Rzuciła list niecierpliwie, prawie z gniewem; w ogóle była uległą dla pani Caryll i spełniała chętnie wszelkie jej życzenia, ale obecnie oburzało że usiłowano jéj narzucić kogoś na męża to ją bez względu czy ona chce tego lub nie.

„Eryk Dynely, rzekła do siebie, istna lalka woskowa, zarozumialec, wyperfumowany elegancik, dandy najczystszéj wody! Mam wstręt do dandysów i nie mogę znieść ładnych chłopców! Wolałabym bez porównania pójść za Terrego Dennison'a!

Okno było otwarte. Chłodny i miły wietrzyk poranny poruszał firankami z koronek i materyi odsunęła je i oparła się na oknie; łagodne światło jutrzenki padało na jéj suknię, róże i brylanty.

„Już dawno powinnyby wyjść ze zwyczaju podobne małżeństwa, myślała zniecierpliwiona. Takie związki wypadałoby zostawić rodzinom królewskim. Ale "jak widać szlachectwo wkłada na nas pewne obowiązki, więc i mnie taki los czeka. Jest bardzo piękny, doskonale z nim tańczyć walca, lub śpiewać duet, ma ruchy zręczne, swobodne i postawę Apolina. Czegóż jeszcze można żądać więcéj? A jednak ja żądałabym czegoś innego. Kocha mnie... czy tylko rzeczywiście kocha, babuniu? O! nie, Eryk wicehrabia Dynely zakochany jest już od lat wielu, ale w sobie samym, i przez całe życie swoje nie uleczy się z téj namiętności! a ja wbrew wszelkim marzeniom moim, i pomimo czci jaką budzą we mnie bohaterowie, muszę zostać żoną Eryka Dynely.

Wśród mgły porannéj stanęła nagle przed jéj oczyma inna postać, z twarzą trochę ogorzałą, poważną, na któréj troski i głębokie myśli zarysowały już lekkie zmarszczki, ocieniona włosami wśród których już gdzieniegdzie połyskiwały srebrne postać człowieka który wiele przecierpiał w życiu, człowieka którego nazwisko miało być kiedyś zamieszczone między nazwiskami wielkich ludzi, słowem człowieka, któregoby każda, kobieta, choćby najwyższe zajmująca stanowisko towarzyskie, mogła kochać wszystkiemi siłami swéj duszy.

„Możesz spotkać człowieka z którego wyobraźnia twoja wytworzy sobie ideał, którego nie będziesz mogła zaślubić, i który na zawsze pozbawi cię szczęścia; pisała pani Caryll. Byłażby obdarzona duchem proroczym?

Rozdział V.

Minął już maj strojący ziemię świeżą zielonością, czerwiec darzący ją miłem, umiarkowanem ciepłem i nadszedł skwarny lipiec, a jedyny syn lady Dynely, nie wrócił jeszcze ze swéj bezużytecznéj wędrówki, aby starać się o pozyskanie serca téj którą mu przeznaczono na żonę.

Dla Fanny Forrester, cały ten sezon w którym po raz pierwszy zabłysła w świecie, był prawdziwie świetny i uroczy. Wprowadzona przez lady Dynely, zgodnie z przepowiedniami wygłoszonemi w Akademii, głębokie wywarła wrażenie.

Pewna osoba z królewskiéj rodziny, któréj pochwała była patentem uznania i powodzenia w świecie, oddała ją głośno pannie Forester, która budząc się nazajutrz, nie wiedziała że jest już w modzie i słynie z powabów.

Była w modzie! ileż to rzeczy mieści się w tych dwóch wyrazach!

Kobiety niecierpiały jéj i obmawiały, ale naśladowały ślepo jéj ubiór i ruchy; mężczyźni uciekali się do dyplomatycznych przebiegów, aby tylko przetańczyć z nią choć jednego walca, tak jak gdyby im szło o względy monarsze. Na spacerach, balach, w Operze, wszędzie panna Forester dzierżyła berło mody i piękności, wszędzie otaczał ją tłum dworaków i wielbicieli.

I czemu to przypisać? pytały zazdrośne rywalki. Nie przedziwnéj piękności, bo jest setki daleko i klasyczniéj piękniejszych niż ona, ze swą ciemną cerą i nieregularnemi rysami, chyba więc jéj śmiałemu obejściu i prawie zuchwalstwu z jakiem wpatruje się w nich oko w oko, śmieje się z ich pochlebstw i komplementów i pomiata nimi jak pyłkami kurzu które ztrzepuje się z sukni.

W rzeczywistości serce Fanny było zupełnie wolne, a wszelkie składane sobie hołdy przyjmowała tak zupełnie obojętnie, iż drażniła próżność mężczyzn, a uczucie to jest u nich, jak wiadomo, nader rozwinięte, chcieli więc koniecznie przełamać lody, a ujarzmieni niewysłowionym, właściwym jéj wdziękiem, stawali się kornymi niewolnikami.

Czy to rozmawiała o włoskiéj polityce z księciem Venturini, czy o ostatniéj operze z signorem Carlo, słynnym tenorem weneckim; czy o sztukach z młodymi studentami uniwersytetu, z marzącemi oczami i rozwianym włosem, lub z poważnymi i ciężkimi Akademikami, lub nareszcie słuchała plotek z Belgrave rozpowiadanych przez jakiegoś ładnego księcia, w bogatym wojskowym mundurze, zawsze bez wyjątku zajmowała ją rozmowa ale nie rozmawiający. Jéj serce, jeźli je miała, pokryte było potrójnym pancerzem, i zdawało się że nikt nie zdoła je przebić, nic wzruszyć.

Rozeszła się jednak pogłoska że od dawna była zaręczona z lordem Dynely, i że zaręczyny te zostaną publicznie ogłoszone wszystkim których to obchodzić mogło, jak tylko młody lord powróci do Anglii.

„Widać musi ślepo ufać swéj narzeczonéj, żartowali dowcipnisie, kiedy tak jakoś nie śpieszno mu wracać do niéj."

A mówiono to wiedząc że panna Forrester odmówiła dwom konkurentom stanowiącym w tym sezonie najświetniejsze partye, których nazwiska wypisane były na pierwszych stronicach szlacheckiéj księgi parów, a którzy przez całe lato składali jéj najpoddańsze hołdy i nie odstępowali prawie jak cień jéj lub ulubiony King-Charles.

Sezon ten, będący dla panny Forrester jednym nieprzerwanym ciągiem uwielbień i świetnych tryumfów, dla malarza Locksley stał się źródłem nieustających zamówień, zniewalających go do niezmordowanéj pracy, ale za to zdawało się że ustali na zawsze jego sławę i powodzenie.

Felicya zamówiła, za pośrednictwem księcia, *pendant* do zakupionego *Zmroku*. Margrabia Saint-Albans, żądał zimowego krajobrazu Kanady; lady Dynely prosiła o zrobienie jéj portretu, dla mającego powrócić syna. Dla pozowania do tego portretu, lady musiała przychodzić często do pracowni malarza, panna Forrester zawsze jéj towarzyszyła. Podczas gdy milady pozując słuchała różnych opowiadań Locksley'a, który dla tego nie przerywał pracy, Fanny biegała swobodnie po całéj pracowni, zapełnionéj obrazami i szkicami.

Widać było że Locksley podróżował wiele i umiał mówić o tem. Opowiadał anegdoty z czasu swego pobytu w Indjach; opisywał bitwy i klęski wynikające z domowéj wojny w Ameryce, wzruszające i pełne życia sceny obyczajowe kanadyjskie, tchnące wiernością i prawdą. Nie już opisywał, ale malował słowami krajobrazy Kanady, jéj krótkie i gorące lato a długą i mroźną zimę, a przy takich pogadankach godziny pozowania mijały jak senne marzenia.

„Jakiż to miły i zajmujący człowiek! ten pan Locksley, powtarzała często lady Dynely; nie znam nikogo ktoby tak umiał ożywić i poprowadzić rozmowę. Cóż to za niezmordowany podróżnik! gdzież to on nie był i czego nie widział!"

Panna Forrester rzadko bardzo i nader oględnie mówiła o Locksley'u i o nieprzerpartym uroku jaki miały dla niéj jego rozmowy; a przecież godziny spędzone w małym domku przy ulicy Brompton, gdy siedząc przy otwartem oknie wpatrywała się w zachodzące słońce, kryjące się zwolna po za wierzchołkami drzew i pozostawiając za sobą długą smugę światła, gdy jednocześnie Locksley rozmawiał malując portret, godziny te były dla niéj najmilszemi w życiu. Nie dość na tem rzucały odblask na wszystko co ją otaczało, i sezon ten jaśniał jakimś urokiem jakim dotąd żaden inny pochlubić się nie mógł.

Prócz tych posiedzeń, często i w świecie spotykała się z Locksley'em; bywał niekiedy u lady Dynely we czwartki, jako w dnie w które przyjmowała zawsze a wtedy Fanny w rozmowie z nim zbierała bogate literackie i artystyczne plony. Dla bystrego dostrzegacza jakże rozległe pole do spostrzeżeń przedstawiał niepokój malujący się w jéj czarnych oczach, szybkie i niecierpliwe spojrzenia rzucane ku drzwiom, nagła obojętność gdy zameldowano nowe nazwisko, żywy odcień niecierpliwości i znudzenia lub szybka błyskawica rozpromieniająca jéj twarz gdy nareszcie wymieniono nazwisko jakie usłyszeć pragnęła.

Ale najniezawodniéj nie Locksley to był tego powodem, wszak nie było chyba skromniejszego i mniéj zarozumiałego człowieka. Wszedłszy zwracał się zaraz do niéj, ściskał szczerze i przyjacielsko maleńką podawaną sobie rączkę, a promienny jéj uśmiech i jego twarz rozjaśniał. Gdy w Parku stał z cygarem w ustach wsparty o barierę, często siedząc w herbowanym pojeździe pozdrawiała go wdzięcznym uśmiechem, a poważna ogorzała twarz jego przybierała wtedy wyraz tak serdecznéj wdzię-

czności, jakiego Fanny nigdy nie widziała u nikogo.

A lord Dynely jak nie przyjeżdżał tak nie przyjeżdżał.

„To szczególne, niepojęte, nieznośne, powtarzała nieustannie lady Dynely, marszcząc brwi, już to sama do siebie już to do Terrego; zdawał się być tak przywiązanym do Fanny, a teraz nie wraca, dozwalając aby połowa młodzieży londyńskiéj nie zaniedbywała nic aby zawrócić jéj głowę. Fanny staje się zalotną.

— A! nie jest to wcale zalotność, odpowiedział Terry. Fanny nie może nie uśmiechnąć się i nie odwrócić głowy ku otaczającéj ją młodzieży, zarówno jak heliotrop lub słonecznik nie może nie zwracać się ku słońcu, a zdaje mi się nie można przecież mieć za złe słońcu, jeżli skutkiem jego promieni więdną one nieco lub czują jakby oparzenie. Wszak prawda że poetycznie się wyraziłem, dodał, dziwiąc się sam że taki frazes wypowiedział.

— Eryk źle, bardzo źle postępuje, mówiła lady Dynely, prawie gniewając się na swego faworyta, i napiszę mu to w pierwszym zaraz liście. Lipiec się kończy, w przyszłym tygodniu wyjeżdżamy do Devon; w sierpniu przypadają jego urodziny, a nie wiemy nawet czy i na ten dzień powróci. Rzecz naturalna że Fanny jest dotknięta jego postępowaniem, choć tego nie okazuje.

— W takim razie przewybornie umie ukrywać swoje wrażenia, ale tak wybornie że ja, naprzykład, gotów jestem myśléć że ją to nic a nic nie obchodzi. Gdzież Eryk jest obecnie?

— W Hiszpanii, gdzie zapewnie dobrze się bawi, odrzekła kwaśno.

— Śliczne tam są dziewczęta... rzekł Terry półgłosem, jakby sam do siebie. No, uspokój, się milady, jeżli chcesz, pojadę po niego.

— Nie pleć niedorzeczności, Terry; czyżbyśmy sobie dały radę, ja i Fanny, gdybyś nam nie towarzyszył i nie opiekował się nami. O! ty jesteś najlepszym z ludzi, nie opuszczasz nas, choć tak pragnąłbyś jechać do Lincoln.

— Zadowolenie i odgadywanie twoich żądań i chęci, milady, jest najpierwszém najgorętszém mojem pragnieniem, odpowiedział, ale jednocześnie z piersi jego wydarło się ciche westchnienie.

W rzeczywistości jakże chętnie byłby porzucił wystawy kwiatów, teatr, Operę, przejażdżki po Parku i różne wycieczki, obiady, bale i wieczory, aby pobiedz do starego wikariatu w którym spędził wiek dziecinny i gdzie błyszczała jego gwiazda polarna. Ale lady Dynely postanowiła inaczéj, a najmniejsze jéj słówko było dla niego wyrocznią.

„Gdybym tylko mógł dostać urlop choćby na tydzień, nie żądałbym nic więcéj, rzekł raz do Fanny wzruszonym głosem; bo widzisz, jest to najmilsza, najsłodsza, najwięcéj ukochana na ziemi istota

— A ma się rozumiéć! odrzekła poważnie.

— Ach! Fanny, ja ją ukochałem gdy jeszcze chodziłem w bluzie a ona w krótkiéj spódniczce z bretelkami... takbym pragnął zanieść jéj te dobre wieści: że zostałem oficerem, mam pięćset funtów rocznego dochodu i niektóre inne jeszcze szczegóły. Po chwili dodał zarumieniony: Wszakże można się ożenić i przyzwoicie utrzymać żonę, mając gażę oficerską i pięćset funtów dochodu? Czy to wystarczy na wynajęcie małéj villi na któremś przedmieściu, na zręczną służącą, małego groma i mały jednokonny powozik? jak myślisz Fanny? Jak to zawsze mówi lady Dynely, ja umiem poprzestać na małem, a ona! och! znam wiele pięknych, bardzo pięknych dziewcząt, ale ani jednéj, tak, daję ci na to słowo, ani jednéj choćby w połowie tak łagodnéj, dobréj milutkiéj jak moja mała Iza.

Panna Forrester była powiernicą Terrego; zwierzał jéj się chętnie ze wszystkiem. Co się tycze lady Dynely, choć ją kochał i czcił, a może właśnie z powodu tego prawie ubóstwienia, nie śmiał mówić z nią o swoich uczuciach. Fanny w ostatnich czasach słuchała go z większym niż kiedykolwiek współczuciem gdy jéj opowiadał dzieje swéj miłości, a słuchała jakaś zamyślona i rozmarzona.

— „Jakiś ty dobry i poczciwy, mój Terry, rzekła raz do niego jakby z żalem; szkoda cię dla prostéj wiejskiéj dziewczyny, prawie sama mam ochotę zakochać się w tobie.

— Ach! daj temu pokój, odrzekł z potulną miną, gdybyś koniecznie chciała gotówbym w końcu uledz, kobiety zawsze co chcą zrobią ze mną... a dopieroż byłbym w kłopocie co mam robić... Ale nie obawiam się, pójdziesz za Eryka.

— Tak sądzisz? odrzekła poważnie, ja nie koniecznie temu wierzę; jakoś Eryk nie śpieszy się wracać i upomnieć o swoje prawa.

— Źle robi, odrzekł Terry i właśnie mówiła ze mną o tem lady Dynely. Bardzo gniewa się o to na syna, i rzeczywiście Eryk zasługuje na ostre napomnienie.

— Milady nie ma powodu się gniewać na Eryka, bo mnie jest to najzupełniéj obojętne; niech się bawi jak chce i póki chce. Co się ciebie tycze, Terry, pojedziesz do Lincoln choćby jutro jeżli zechcesz. Bądź spokojny, pomówię o tem z lady Dynely.

Terry zawołał przestraszony.

— Nie, nie, nie rób tego Fanny, mogłoby to nie podobać się lady Dynely, a za nic w świecie nie chciałbym dać do tego powodu; osobiste moje sprawy mogą czekać.

— I nasze także; bardzo poważam i cenię milady ale znowu nie tak jak ktoś, co to o niemal że nie całuje śladów jéj stóp. Pomówię z nią o tem.

Panna Forrester dotrzymała słowa. Poszła do buduaru lady Dynely i w ten sposób zaczęła rozmowę.

„Milady, czy nie mogłabyś dać Terremu dwu tygodniowego urlopu? biedak gotów popaść w czarną melancholię. już zaczynają blednąć rumiane jego lica. Zakochany po uszy, a gdy obecnie wspaniałomyślność milady zapewniła mu jakieś utrzymanie, rzecz naturalna że pilno mu pobiedz co prędzéj do ukochanéj i u stóp jéj złożyć swe serce i mienie, i podzielić z nią swą chatkę i miłość.“

Fanny napowiedziała to żartobliwie. Lady Dynely pisała właśnie surowe wypomnienie synowi, upuściła pióro i zwróciła na nią twarz bardzo w téj chwili zmienioną i bladą.

„Jakto?... więc on... Terry... chce się żenić?... zaledwie zdołała wyszeptać.

— A naturalnie; zrobiłyśmy sobie z niego pieska który na rozkaz szuka i aportuje, ale przecież mimo to jest człowiekiem. Traktujemy go jak pazia lub kamerdynera, ale wszak jest porucznikiem dragonów i ma lat dwadzieścia cztery. Zapewnie daleko mu jeszcze do lat matuzalowych, ależ przecie jest już w wieku w którym może się ożenić, jeżli ma ochotę popełnić tę niedorzeczność.

— Terry... ożenić się...

Po sino-bladéj twarzy lady Dynely, przesunął się wyraz gniewu.

„Ależ to niedorzeczność! to szaleństwo!... Terry miałby się żenić! Co znowu!... tak niedawno jeszcze był dzieckiem... ani słyszéć o tem nie chcę!

— Ależ jest trzy lata starszy od Eryka, zawołała, a oczy jéj zabłysły oburzeniem na taką niesprawiedliwość. Gdy Erykowi, wielkiemu panu, przyjdzie fantazya zawrzéć śluby małżeńskie, nie mówisz milady, że jest za młody!

— Różnica jest tak wielka że nie można żadnego robić porównania, odparła zimno lady Dynely; z kimże chce się żenić?

— Z jedną z panien Higgins, a jest ich dziewięć, rzekła Fanny, lekko wzruszając ramionami. Jest to ósma z kolei, więc prawie najmłodsza. Ona i Terry kochają się od czasu jak oboje chodzili w koszulkach i bluzkach i jadali na jednym talerzu; nie godzi się więc, milady, dodała z oburzeniem, przeszkadzać biednemu Terry ożenić się, jeżli on tego pragnie.

— Przyśléj mi Terrego, pomówię z nim, odpowiedziała lady Dynely.

— Tylko, zaklinam cię lady Dynely, nie bądź za surową dla niego; Terry kocha cię tak, jak mało, bardzo mało synów kocha własne matki. Jest tak nieograniczenie przywiązany do milady, iż przekonana jestem że gdybyś mu kazała zapomniéć o swéj ukochanéj i wstąpić do trapistów, pewnieby się nie zawahał. To też proszę cię lady Dynely, nie nadużywaj swego nad nim wszechwładztwa, miéj litość nad biednym Terry.

Odeszła a niezadługo nadszedł Terry. Jest tak pomieszany i tak ma zafrasowaną minę, jak kiedyś, gdy go pochwycono jak zerwał jabłko, i poprowadzono do pastora, aby został ukarany za swoją zbrodnię.

Milady jest jeszcze strasznie, strasznie blada; gdy się zbliżył w oczach jéj malował się gorączkowy niepokój, usta miała zaciśnięte, a skrzyżowane na kolanach ręce nerwowe poruszało drganie.

„Cóż to, Terry... czy to tylko żarty Fanny, czy rzeczywiście masz zamiar...

„Zaślubić Izę Higgino? Tak jest, milady, jeżli raczysz zezwolić, odrzekł pokornie ale z pewną stanowczością.

— Chcesz więc koniecznie?...

— O tak! pragnę tego całem sercem.

— Biedny szaleńcze! odrzekła, jakże to nierozważny pomysł!... Jeszcze jesteś za młody do małżeństwa... tak, Terry, powtarzam jesteś za młody, boś ty o dziesięć lat młodszy od lat twoich. Pomimo że bywasz w świecie, tak nie znasz ludzi i życia jak jaka niedorosła panienka. Nie mam ci wcale tego za złe, przeciwnie, za to właśnie więcéj cię kocham, ale nie nadajesz się jeszcze do roli żonatego człowieka. Zresztą fundusze twoje, wystarczają dla ciebie który tak mało wymagasz, ale nie są wcale dostateczne na utrzymanie żony i domu. Nie mogę uwierzyć żebyś rzeczywiście był zakochany, ty co zawsze taką okazujesz obojętność dla wszystkich choćby najpiękniejszych kobiet.

— Ale kocham Izę, odrzekł, a niebieskie oczy jego zabłysły. Kocham ją bardzo, i pokochałem od pierwszego spojrzenia.

— A ona?

— Nie wiem. To pewna że będąc razem od dzieciństwa nawykła i przywiązała się do mnie; ale Iza ma dopiero siedmnasty rok, nie zna świata i ludzi, nie zna nic po za krańcami rodzinnéj wioski, jest jeszcze nieświadoma i niewinna jak dziecko. Zdaje mi się jednak że gdy się oświadczę o jéj rękę, nie odmówi mi.

— Więc zamyślasz się z nią żenić?

— Za twojem upoważnieniem, milady.

— A jeżli nie zezwolę na to?

— W takim razie, odrzekł Terry, a twarz jego spospępniała i głos zmienił się mocno, będę musiał zapomniéć; bo pierwszym moim obowiązkiem jest

pełnić wolę twoją, milady, ale będzie mnie to wiele, bardzo wiele kosztować.

Lady Dynely położyła rękę na jego głowie, usta jéj drgały.

— Dobry z ciebie chłopiec, Terry, niepodobna byłoby być surową dla ciebie, i nie mam téż tego zamiaru, o jedno tylko cię proszę. Odłóż trochę twój wyjazd i nie oświadczaj się dopokąd... dopokąd Eryk nie wróci.

Ujął jéj rękę i pocałował mówiąc:

— Będę posłuszny.

— Dopokąd Eryk nie wróci, powtórzyła, zawsze blada i drżącym głosem. Mam wam obu coś do powiedzenia, a potem postąpisz jak zechcesz i od owéj chwili będziesz zupełnym panem swego losu i postępowania.

— Ale nie gniewasz się na mnie, milady? zapytał niespokojny.

— Ja miałabym gniewać się na ciebie!... O! nie, Terry, to niepodobna, w całem życiu twojem nie dałeś mi do tego powodu.

Westchnęła ciężko. Pomyślała o synu, tak jéj drogim, tak bezgranicznie kochanym, a który tylokrotnie już dał jéj powód do skarg i zmartwienia.

— A więc zgadzasz się na to, dodała; nie postanowisz nic dopokąd nie dowiesz się co mam ci powiedzieć.

— Dobrze, będę czekał choćby całe lata, odpowiedział, i mocno wzruszony pożegnał milady i wyszedł,

„Co takiego może miéć mi do powiedzenia? myślał zaintrygowany.

Terry nie posiadą daru odgadywania. W prostem jego życiu dotychczas tak nie miały miejsca żadne tajemnice, iż ta jakaś nasuwająca się musiała go bardzo zaciekawić i zaniepokoić.

Po jego wyjściu, lady Dynely ukryła głowę w dłonie, i cichy jęk rozpaczy wydarł się z jéj piersi.

„Odkładałam tak długo... taiłam dotąd... aż oto nadszedł dzień... nadszedł...

— No cóż? zapytała Fanny, czy główny dowódzca udzielił ci urlop, panie Terencyuszu Dennison?

Terry prędko opowiedział jéj wszystko; nie ma jeszcze nic stanowczego, musi czekać powrotu Eryka.

— Powrotu Eryka! Boże! dodaj mi cierpliwości! zawołała, składając ręce jak do modlitwy. Co to, u licha! może miéć wspólnego z powrotem Eryka. Lady Dynely tak w nim jest zaślepiona, iż gdyby od niéj zależało, kula ziemska nie mogłaby się obracać bez jego pozwolenia, a słońce nie świeciłoby gdyby się to nie podobało Jego Wysokości. Wszak zbytecznem byłoby pytać cię, panie Dennison, czy będziesz posłuszny?

I popatrzyła na niego ciekawie, litośnie, prawie z uwielbieniem.

„Od czasu poznania ciebie, Terry, mam lepszą opinię o ludziach; ty dajesz mi wznioślejsze pojęcie natury ludzkiéj. Dotąd sądziłam że wdzięczność jest to cnota zaginiona wraz z barbarzyńskiemi wiekami, ty przekonywasz mnie że się myliłam. Ty, Terry, tak kochasz i taką czcią otaczasz lady Dynely, jak jakiś święty madonnę.

— Tak wiele dla mnie uczyniła, odrzekł z prostotą, że największa wdzięczność tego nie spłaci.

— Bądź spokojny, twoja wdzięczność pewnie sowicie opłaci dług zaciągnięty; nie zbraknie ci do tego sposobności.

Panna Forrester daleko lepiéj znała świat i ludzi niż biedny Terry.

— Jak to było, Terry? Podobno pokrewieństwo twoje z rodziną Dynely zupełnie nie jest wyjaśnione. Gdzie i jak żyłeś gdy lady Dynely pojechała cię zabrać?

Pod tym względem, Terry zachował nader blade i niewyraźne wspomnienia, to téż zakłopotało go to zapytanie i przykre wrażenie odbiło się na jego twarzy. Tyle tylko zapamiętał że otaczała go nędza; ci zaś wśród których żył byli szorstcy i nieogładzeni, ale dobrzy dla niego. Obok tych zatartych już prawie w pamięci obrazów, przypominał sobie wyraźnie ów dzień posępny i dżdżysty, gdy strojna w bogate szaty i piękna lady Dynely, zstąpiła do ubogiéj, posępnéj chaty, jakby anioł światłości. Zaledwie się ukazała, życie jego zmieniło się jakby za dotknięciem czarnoksięzkiéj laski; rodzona matka nie mogłaby być lepszą i więcéj zrobić dla syna, jak ona dla niego.

„Tak myślisz? rzekła panna Forrester z pewnem powątpiewaniem, porównywając w myśli życie jakie wiódł Eryk ze skromnem stanowiskiem Terrego.

Ale nie chciała ziębić lodem gorących jego uniesień. Piękną i wzruszającą była ta jego ufność i prostota, to przywiązanie i cześć jakiemi otaczał lady Dynely, wśród tego zimnego i samolubnego świata, w którym wdzięczność nie jest zasadą ale rzadkim wyjątkiem.

„Ale co kierowało postępowaniem lady Dynely, i jakie rzeczywiście masz prawo do jéj opieki?

I to pytanie zakłopotało Terrego. Tyle tylko wiedział, że, jak to powiedziała milady, ojciec jego miał być dalekim kuzynem ostatniego lorda Dynely, oto wszystko co znał ze swojéj historyi.

— Jednak ciekawa to rzecz, pomyślała Fanny, patrząc na niego. Lady Dynely pewnieby dla fantazyi nie wzięła w opiekę dziecka nędzarzy, i nie obchodziłaby się z nim tak jak obchodzi się z Terrym. Jest w tem jakiś nieznany nam powód, a jak mi się zdaje, pewnie nie koniecznie szlachetny.

Tak więc Dennison zaniechał obecnie zamiaru jechania do hrabstwa Lincoln, w celu oświadczenia się i uszczęśliwienia na życie całe ósméj z rzędu panny Higgins, i pełnił znów dawne swoje obowiązki, jak to powiedziała panna Forrester szukał i raportował, towarzysząc nieodstępnie obu paniom, wszędzie, nawet do pracowni przy ulicy Brompton, co go najwięcéj nudziło, bo zupełnie nie znał się na malarstwie więc nie zajmowały go znajdujące się tam obrazy i szkice, a Locksley tak był całkiem zajęty portretem i paniami, iż nie mógł go zabawiać. Ponieważ wcześnie miał być zamknięty Parlament, więc piękny i krótki sezon miał się ku końcowi, cały piękny świat londyński myślał już o powrocie na wieś, i wkrótce lady Dynely miała po raz ostatni pozować do ukończonego prawie portretu. Podczas tego posiedzenia, panna Forrester jak zwykle przerzucała wszystkie płótna, aż nagle spostrzegła szkic który stał się dla niéj prawdziwem objawieniem.

Wszystko już prawie przejrzała kilkakrotnie. Widziała krajobraz zimowy w Kanadzie dla margrabiego: widok wyżyn Kwebeku, z rzeczką podobną do wijącéj się srebrzystéj wstęgi i śnieżysty cypel Montmorency-Fals, strzelający pod niebieskie sklepienie: daléj perspektywy lasów Virginii; malownicze chaty murzynów; piękne szkice lasów północy w jesieni; sceny z życia indyjskiego i krajobrazy pustyni, z Arabami obwiniętymi w białe burnusy.

Pendant do obrazu zakupionego przez Felicyę nie był dotąd zaczęty. Nagle, w najciemniejszym kącie pracowni, dostrzegła szkic przykryty kilku płótnami, był to niewielki obrazek, ale naszkicowany mistrzowsko, z doskonale oddanem stopniowaniem światła i cieni. Oto co szkic ten przedstawiał.

Ogród urządzony na dawny sposób, a w nim gęste krzaki róż, heliotropów i kaprifolium. Noc rozpostarła swe cienie, zaledwie rozjaśnione bladem światłem księżyca. W głębi, z po za gęstych drzew, rysują się poważne kontury pańskiego mieszkania. Młoda, biało ubrana dziewczyna, stoi zamyślona, smutna i poważna jéj twarz zwrócona jest ku niebu. W oddali, tak że zaledwie dostrzedz go można, odznacza się wśród cieniu jakiś cień czarniejszy. To wysoki mężczyzna, który niepostrzeżony wpatruje się w piękną dziewicę.

Ta dziewica, to Fanny. Widząc to, krew uderzyła jéj do głowy; mimowolnie wydała krzyk, i trudno byłoby oznaczyć czy był on zwiastunem radości czy gniewu. W jednéj chwili zrozumiała znaczenie sceny jaką miała przed oczami, a zarazem i co się w jéj sercu dzieje. Ta postać niewidzialna, to on, wypowiadający jéj ostatnie pożegnanie... a w oczach jego widnieje tak głęboka i namiętna miłość, tak gwałtowna rozpacz!... Jak on śmiał to wymalować? Rumieniec wystąpił na jéj policzki, oczy ciskają płomienie. O nieba! czyżby się domyślał?... czyby odgadł czego do téj chwili ona sama nie pojmowała? Ogarnęło ją przykre uczucie wstydu i przerażenia. Czyżby się domyślał, czyżby śmiał przypuszczać że zstąpiła z wysokości aby się nim zająć?...

Tak, że zstąpiła z wysokości, bo nie jestże on prostym artystą nieznanego urodzenia, skazanym na trudy i pracę dla marnego zarobku?... Ale Fanny odsuwa te myśli, bo teraz uczuła w głębi duszy że choćby człowiek ten był nawet żebrakiem, on jeden tylko może być od niéj kochanym i panem jéj losu.

Z przerażeniem wpatrywała się w obraz, nie mogąc od niego oderwać oczu, gdy wtem nagle usłyszała po za sobą kroki i podniosłszy oczy spotkała się z jego wejrzeniem. Co wyczytał z jéj twarzy, odpowiedzieć trudno, ale zbladł nagle i postąpił parę kroków, jakby chcąc obraz jéj odebrać.

„Panno Forrester, nie chciałem żebyś pani widziała ten szkic.

— Bardzo wierzę, musisz pan jednak przebaczyć żem go zobaczyła. Któremuż ze swoich nabywców pan Locksley przeznacza ten obraz, jeźli wolno zapytać?

— Obraz ten nigdy nie opuści méj pracowni; czytałem poemat téj treści i przyszła mi myśl odtworzyć go pędzlem. Nie wiem jak się to stało że twarz młodéj dziewicy jest jakby portretem pani, ale to mała rzecz, mogę zatrzéć zaraz, jeźli pani sobie życzysz.

— Obraz ten jest własnością pana Locksley i wolno mu robić z nim co mu się podoba, odpowiedziała zimno. Wszak posiedzenie już skończone, *mamo* możemy więc jechać.

— Czy to twój portret, Fanny? zapytała lady Dynely, zbliżając się i przykładając lornetę do oczu, aby zobaczyć jabłko niezgody. A tak... tak, i doskonale zrobiony... Ale czemu nadałeś jéj oczom taki wyraz rozpaczy, panie Locksley. Któż kiedy widział u Fanny podobne spojrzenie?

— Nikt, moja mamo, odrzekła wesoło, (niekiedy, z wielką radością lady Dynely, Fanny nazywała ją matką) nikt nie widział i nikt takiego u mnie nigdy nie zobaczy... Ale panowie artyści mają niekiedy tak dziwaczne pomysły!...

— Chciałabym bardzo żebyś pan zrobił prawdziwy portret Fanny, rzekła milady; nie mam go dotąd. Cóż pan na to? proszę odłóż pan swoje zobo-

wiązania, a zrób mi tę przyjemność przyjedź do Dynely i tam odmaluj jéj portret.

— To niepodobna, milady, odrzekł krótko artysta, wsparty o stalugi i posępnie wpatrując się w szkic obrazu.

W téj chwili w wyrazie twarzy panny Forrester nagła zaszła zmiana. Dumne i surowe spojrzenie zastąpił powabny uśmiech który rozjaśnił jéj twarz, jakby promień słońca ukazujący się po burzy.

„Nikt nigdy jeszcze nie odmówił nic lady Dynely, rzekła tonem rozkazującym, ale zarazem wesołym i miłym. I ja chciałabym miéć mój portret abym patrząc na niego mogła wnosić jaką się wydaję innym. Twarz na tym obrazie nie podobna do mnie, bo niepodobnaby mi było taki wyraz nadać spojrzeniu. Zrobisz pan nawet nie jeden ale dwa moje portrety, jeden dla lady Dynely, a drugi dla pewnéj ukochanéj staruszki w Rzymie, któréj niewysłowioną sprawi przyjemność... dla babuni Caryll.

Usłyszawszy to nazwisko, podniósł głowę i słaby rumieniec wystąpił na ogorzałą twarz jego.

„Żądasz pani tego? zapytał.

„Najniezawodniéj. Felicya może czekać, a pan przyjedź do nas do Dynely, odrzekła Fanny.

— Zrobisz mi pan największą przyjemność dodała lady Dynely.

Fanny mogła wyczytać z jego twarzy wahanie i jakby walkę staczaną z samym sobą, nareszcie podniósł oczy i spotkał się z jéj wzrokiem.

„Obiedwie panie jesteście bardzo dobre i łaskawe, spełnię wasz rozkaz, odrzekł spokojnym głosem.

Rozdział VI.

Pan i właściciel.

Na wybrzeżach Bretanii, w Saint-Jean sur Mer, pomimo skwarnych promieni letniego słońca, przechadzał się młody i elegancki gentleman, niecierpliwie oczekując na odpłynięcie statku stojącego w przystani. Słońce lipcowe przyświeca rażącem światłem, a promienie jego odbijające się o powierzchnię morza jakby o zwierciadło, zaślepiają wzrok przechodzących wybrzeżem; skwar dokuczliwy jakby lekka para unosi się po nad wodą; najlżejszy nawet wietrzyk nie porusza liśćmi kasztanowego szpaleru, a ulice Saint-Jean są jakby zwapnione i ubielone rażącem promieniowaniem palącego słońca.

Jednak nie zważając na to zwrotnikowe gorąco, młody Anglik zimny i obojętny przechadza się tam i napowrót. Miał na sobie bardzo elegancki szary strój letni; buty i rękawiczki według najświeższéj mody, a cieniutka batystowa chustka od nosa którą parę razy otarł spocone czoło, ozdobiona była pięknie wyhaftowanym monogramem, po nad którym unosiła się wielka hrabioska korona. Młodzieniec ten jest wysoki, jasny blondyn, nader kształtnie zbudowany, szeroki w ramionach, wcięty w pasie jakby kobieta, a w dodatku bardzo piękny. Miał twarz bardzo delikatną, rysy regularne, jasno blond włosy i niebieskie oczy; zręcznie zakręcone wąsiki, na głowie lekki słomiany kapelusz. Wypieszczony ten młodzieniec, jest to wicehrabia Eryk Dynely; przechadza się tam i napowrót po wybrzeżu, oczekując na statek mający go przewieźć przez la Manche, z powrotem do domu, gdzie zastanie piękną dziewicę któréj ma zostać mężem; widać jednak nie bardzo mu pilno, skoro jak mógł najdłużéj powrót swój odkładał. Jest to, jak mniema matka jego lady Dynely, najszlachetniejszy, najpiękniejszy, najdoskonalszy z ludzi, słowem wzór wszelkich powabów, cnót i przymiotów.

Fanny Forrester, jest ładna, dystyngowana i rozumna, i nie raz może w umyśle lorda Dynely powstawało podejrzenie czy czasem nie jest mędrsza od niego — co musiało usposabiać go niekorzystnie względem narzeczonéj. Należał on do kategoryi mężczyzn nie lubiących rozumnych kobiet, i dość było najlżejszéj niebieskiéj plamki na pończoszce, aby najmniejsza, najpiękniejsza nóżka, straciła dla niego cały swój urok. Ale skoro matka jego dawno już ułożyła ten związek i biedna Fanny pewnie liczy na niego i niecierpliwie oczekuje, to jakoś przyzwoiciéj będzie gdy powróci dobrowolnie i złoży w ofierze na ołtarzu synowskiego posłuszeństwa swoją młodość i piękność, niż oporem wywołać skandal; a z resztą nie zna żadnéj kobiety, którąby *na żonę* przekładał nad Fanny Forrester, spadkobierczynię lady Caryll.

Eryk Dynely przyszedł na wybrzeże o wpół do dziesiątéj; wyjął z kieszeni prześliczny mały repetier, wysadzony drogiemi kamieniami: było już trzy kwandranse na jedenastą, młody lord zmarszczył brwi.

„A! niech ją tam! wyszeptał; miała przyjść o wpół do jedenastéj, a już trzy kwandranse minęło; statek odchodzi o jedenastéj, jeźli nie przyjdzie, daremnie naraziłem się na opalenie i znużenie wzroku, chodząc blizko dwadzieścia minut pod tak palącemi promieniami słońca.

Wtem zamilkł, zatrzymał się i uśmiechnął, zobaczył bowiem nadchodzącą młodą ładną Francuzkę z błyszczącemi czarnemi oczami, zręczną, szykowną, wesołą, bardzo gustownie ubraną. Jest to ostatnia ofiara wdzięków lorda Dynely. Poznał ją na balu w Saint-Jean, na którym w przeciągu dziesięciu minut zdołała podbić zmienne serce młodego lorda. Przybył on do Saint-Jean powracając z podróży po Hiszpanii, z zamiarem odpłynięcia nazajutrz zaraz do Anglii, ale dwa tygodnie upłynęło od tego czasu, a piękne czarne oczy i francuzki język przykuły go do miejsca. Nareszcie przesycony miłością postanowił odjechać, a młoda piękność z czarnemi oczami przyrzekła przyjść pożegnać się z nim na wybrzeżu.

Przywitawszy się rozmawiali bardzo czule; on miłośnie pochylił się ku niéj, a niebieskie jego oczy wyrażały głębokie, gorące uczucie. Był on jednym z tych mężczyzn tak wprawnych w odgrywanie roli kochanka i tak się nią przejmujących, iż nareszcie sami zapominają że to tylko rola i wierzące w rzeczywistość oddają ją z wielkim zapałem i uniesieniem. Tacy mężczyźni mają zazwyczaj dar łatwégo zawracania głów kobietom, bywają szalenie kochani, i ofiary swoje, choć nie rozmyślnie, często jednak na wielkie skazują cierpienia.

I lord Dynely nie był z gruntu złym lub zepsutym, tylko lekkomyślność zbyt rozwielmożniła się w jego sercu i głowie. Oto szkic usposobienia człowieka mającego być mężem i panem Fanny.

Na wszystkich zegarach w Saint-Jean wybiła jedenasta, nadeszła więc straszna godzina rozstania. Łzy zabłysły w oczach młodéj kobiety gdy wyszeptała ostatnie pożegnanie; lord Eryk pobladł, zdawał się uosobieniem żalu i czułości. Stanąwszy na pokładzie, dopokąd tylko można było widzieć piękną Francuzkę, powiewał ku niéj swoją wyperfumowaną chustką — ona stała smutna i blada jak posąg rozpaczy. Nareszcie statek zniknął w oddali.

Wtedy piękny lord roześmiał się, schował chustkę do kieszeni, zapalił cygaro, usiadł w cieniu na pomoście i kazał służącemu podać sobie najnowszy romans słynnego autora, i nim upłynęło pięć minut zapomniał o kobiecie którą pożegnał i ani pomyślał o téj do któréj wracał.

Przybywszy do Londynu nie zastał nikogo, wszyscy już się porozjeżdżali, wprawdzie zostało jeszcze około trzech milionów mieszkańców, ale ci nie należeli do jego sfery; to też rzuciwszy pogardliwe spojrzenie na opustoszałe ulice i aleje parku po nad którémi piekło słońce West End'u, wyjechał zaraz do Devon.

Ponieważ nie zawiadomił o przyjeździe, nie zastał swego powozu na stacyi i jak zwykły śmiertelnik publicznym powozem dojechał do bramy opactwa. Wysiadłszy, powolnym krokiem szedł ku pałacowi i spostrzegł dość liczne towarzystwo zebrane w ogrodzie.

Jakkolwiek lord Eryk jeszcze nawet nie był pełnoletnim, wydawał się tak zmęczony i znużony, jakby życie było już dla niego strasznie starą historyą lub nader męczącem kłamstwem. Nic nowego, nic prawdziwego, nic zajmującego, oto najstosowniejsza dla niego dewiza.

Wieczór był prześliczny, niebo prawie tak piękne jak we Włoszech, szaro-złote w miejscach ciemniejszych, różowe i błyszczące w jaśniejszych; księżyc majestatycznie wznosił się po nad drzewami, a świetne gwiazdy ukazujące się tu i owdzie na horyzoncie, zdawały się uśmiechać złośliwie do starego naszego planety. Co chwila unosił się lekki, miły wietrzyk, tak słaby iż zaledwie poruszał kielichy kwiatów, roznosząc woń ich w powietrzu; harmonijny, wieczorny śpiew słowików rozlegał się w przestrzeni, wszystko to razem składało się na rozkoszną, upajającą całość, ale lord Dynely nie widział, nie słyszał wszystkich tych piękności. Tyle tylko wiedział że cały dzień było parno i duszno, a teraz chłodniéj i lżéj jakoś oddychać. Dopiero ujrzawszy gromadkę dziewcząt w białych i różnych jasnych sukniach grających w *kroket* pod bukami, lord ożywił się nieco, bo widok ładnéj dziewczyny lub całéj ich gromadki, na każdem miejscu i o każdéj dobie zdoła zawsze ocucić go z odrętwienia. Młody lord bardzo lubi kobiety, a przyjaciele i dobrzy znajomi jego mówią że słabość tę odziedziczył po ojcu.

Dziewczęta bawiące się w *kroket* nie zwróciły na niego uwagi, lecz gdy nadszedł bliżéj, spostrzegła go jedna z pań zapatrzona w przestrzeń zapadającą w cieniach zmroku a z piersi jéj wydarł się okrzyk szczęścia i radości.

— „Eryk... syn mój... dziecię moje ukochane!...

Pozwolił się ściskać i całować nie odpłacając się jednak równie gorącemi pieszczotami, bo zdawało mu się że było trochę za gorąco na oddawanie się objawom zbyt silnych uczuć rodzinnych, co jest zwykłą wadą kobiet; wyzwoliwszy się powoli z uścisków matki, spojrzał w stronę grających w *kroket*, mówiąc:

— Jak widzę tam się bawią wesoło. Matko, czy ja znam te panie? A widzę panny Veres i Dorman... czy i Fanny bawi się z niemi?... Jakże się ma?... nie, nie ma jéj tam...

(d. c. n)



Pl. 395.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.